



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z MOTYWÓW JESIENNYCH.

I.

Elegia jesienna.

Nessun maggior dolore,
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria....

Dante.

W alei lipowej, gdy zimny wiatr miecie
Pożółkłe już liście o późnej jesieni,
Wspominam cię z żalem, o, wonny mój kwiecie,
Miłości ty moja z słonecznych promieni!
I myślę: jak smutne tu wszystko na świecie....
Po żarach miłości chłód czuję jesieni,
Wiatr zwątpień—listeczki snów dawnych w dal
[miecie.

W rozkosznej, wiosennej zmartwychwstań go-
[dzinie,

Gdy jaśmin śnieżystym osypał nas kwiatem,
A słowik się tęsknie uzał w gęstwinie,
Jam uczył się królem i panem nad światem,
Bom wierzył, że miłość twa nigdy nie minie,
Że ona mi będzie czarownym tym kwiatem,
Co doda mi męztwa w zwątpienia godzinie.

Marzyłem!... Lecz życie—zawodów łańcuchem
Jak zwiedle nas liście rzuciło w dwie strony.
Jam znów dziś w otchłani wszechbytu okruczem,

Samotny, do gwiazdy podobien strąconej!
Wiatr szumi w drzew szczytach, coś szepcze nad
[uchem....

Od twojej snadz dzisiaj powiewa on strony,
Bo wstrząsa tak ciężko mych wspomnień łańcu-
chem.

O! niema boleści, jak chwile szczęśliwe
Wspominać w dniach smutku, dni słońca—wśród
[cienia,

I wciąż je przed sobą oglądać, jak żywe,
I nie móż zanurzyć się w toń zapomnienia!
Idź. — zejdź mi już z myśli, o dziewczę me tkliwe!
Idź, — niechaj sam idę wśród ciszy i cienia...
A może zapomnę te chwile szczęśliwe.

Bez zmarszczek me czoło, twarz moja—pogodna,
Nie poznać, że dręczy mię hydra pamiętek,
Żem czarę zawodu wychylił aż do dna;
A jednak rzuć okiem w najskrytszy zakątek
Mej duszy: wyziera zeń pustka bezpłodna.
Nic nie mam, nic nie mam, prócz gorzkich pa-
[miątek,

I zwolna schnie serce, choć twarz ma pogodna.

W alei lipowej, gdy zimny wiatr miecie
Pożółkłe już liście o późnej jesieni,
Wspominam cię z żalem, o, wonny mój kwiecie,
Miłości ty moja z słonecznych promieni!
I myślę: jak smutne tu wszystko na świecie....
Po żarach miłości chłód czuję jesieni,
Wiatr zwątpień—listeczki snów dawnych w dal
[miecie.

II.

Po zachodzie.

Ach, morze całe, ocean mgły złotej
Na widnokregu zostawiło słońce!
Niebo rozwiał się w pyły świecące,
W głąb' złotą jedną. Obłoki, w tysiące
Skier, blasków zdobne, zwiesiły nad lśniące
Te tonie—szlaki, festony, namioty.

Chwila—i zachód zgasł... Pełen tęsknoty,
Wyciągam dłonie, gdzie blaski niktące
Skrzył tuman biały, wstający na łące.
I tak mi smutno. . Jak mgły te błyszczące,
Tak życie zwiewa me sny jaśniejące—
I gorycz w twarde ujmuje mnie sploty.

III.

Pochmurna noc.

Zgasł krótki dzień, jesienny dzień,
Pochmurnej nocy zapadł cień.
Wiatr gwizdże. Zeschłych liści szum
Do smętnych mię kołysze dum,
A dusza, trwożnych pełna drzeń,
Z bojaźnią pyta: „Wróciż dzień?”

A w nocnej mgłę rój strasznych mar
Chce stłumić piersi moich żar.
Na serce każda kładzie dłoń,
Zinnemi usta muska skroń
I szepcze: „Rzuć się w życia war,
Tam rozkosz! Dość już złud i mar!”

Tu orlem skrzydłem bije duch.
„Cóż—powszedniości marny ruch?
Ja wyżej patrzę. Światła skra
Wiecznego w głębiach moich drga,
Melodya sfer mój pieści słuch;
Do swej kolebki dąży duch!”

Znów wyje wiatr. Posępny cień
Chce ideału zgasić dzień;
Czarnemi skrzydły wieje strach,
W ufności mojej bije gmach.
Lecz jam już silny i bez drzeń:
Przed światłem pierzchnąć musi cień!

Miriam.

FRYC I FRYCEK

NOWELLA

Michała Wołowskiego.

(Dalszy ciąg).

Pan von Müller nie mógł lepiej trafić dla swoich celów.

Baron był w najgorszym humorze, na anons więc wizyty, odparł krótko:

— Powiedz mu, żebv sobie poszedł do wszystkich dyabłów!...

Lokaj nie ruszył się z miejsca, otrzymany napoleonod nakazywał mu co do joty spełnić życzenie cudzoziemca; a był to sumienny człowiek, rozumiejący zresztą sytuacją.

— Czegóż stoisz? — ozwał się niecierpliwie baron.

— Pan Müller przyjeżdża z pieniędzmi.

— Z jakimi pieniędzmi?

— Tego już nie wiem, powtarzam tylko to, co mi kazał powiedzieć.

Oblicze pana barona rozjaśniło się nagle, wyraz ciekawości skurczył mu we właściwy sposób mięśnie twarzy. Baron zatrzymał się przy stole, ręce o niego oparł i z pół-śmiechem patrzył się we drzwi, przez które miał wkroczyć człowiek przynoszący mu pieniądze. Śmieszyla go nawet nieco ta sytuacja: dotąd on sam tylko płacił wszystkim; ten przybywający człowiek miał być pierwszym, przywożącym pieniądze dla niego. Pani baronowa z nawpół otwartymi ustami i malującym się zdziwieniem na twarzy, z niepokojem prawie patrzyła się tak na twarz męża, jak i na drzwi wchodowe.

Po małej chwili pan Fryderyk von Müller w tych drzwiach się ukazał, wszedł do pokoju, stanął i z pewnością siebie, spokojnie schylił głowę.

— Pan Fryderyk von Müller?

— Tak, panie baronie, do usług.

— Czemuż mam zaszczyt przypisać wizytę pańską?

— Jak zwykle, interesom; dla nas Niemców to jest pierwszy i główny powód wszystkich naszych czynności.

— Więc...? — pytał baron zpańska przybyłego.

— W ziemi pańskiej złożone są miliony.

— Aż tak...! — zawołał przeciągle baron.

— Tak panie, chcę z panem baronem do spółki podzielić się temi milionami, które, rzecz prosta, ja wydobędę; z góry nawet zdecydowany jestem wypłacić panu pewną summę *a conto* naszych przyszlých zysków, jeżeli się tylko pan na moję propozycją zgodzić racyzsz.

— Niechże ją usłyszę — była odpowiedź barona i z pewnym szacunkiem już tym razem Noisette wskazał krzesło przybyłemu, który aż do tej chwili rozmawiał z nim stojący.

No, człowiek, który przynosi pieniądze zasłużył na to, ażeby go prozono siedzieć.

Fryderyk von Müller z najzimniejszą krwią i swobodą podsunął sobie krzesło, usiadł na niem,

wyjął z bocznej kieszeni książkę, zaopatrzoną w ołówki, rozłożył ją na stole i rozpoczął obrachunek.

— Wszak w okolicach pańskiego majątku znajdują się rudy żelazne?

— Tak, panie, lecz...

— A więc znajdować się muszą i tutaj — podchwycił szybko Niemiec — według wszelkich praw geologicznych; pan baron zna prawa geologiczne?

Niestety, pan baron nie miał o tem nawet przybliżonego pojęcia: milczał, więc, gdy von Müller tak dalej ciągnął rzecz swoją:

— Tak, panie baronie, wchodzę z panem do spółki; rozpoczynamy najpierw poszukiwania geologiczne, potem tworzymy spółkę akcyjną dla eksploatacji Przestrzeń obejmująca cały pański majątek da nam miliony; wybudujemy potem fabrykę, rozpoczniemy przetapiać surowiec, w następstwie fabrykę stali maszyn wszelkiego rodzaju.

Tutaj von Müller rozpoczął notować liczby kosztów i zysków, jakie spodziewał się osiągnąć z zamierzonego przedsięwzięcia, liczył tylko okrągłemi liczbami. Jedynki i zera lały przed oczami barona, jak świętojańskie robaczki podczas czerwcowej nocy. Niemiec dodawał, odejmował, mnożył, dzielił i podkreślał, a baron na to wszystko patrzył ze zdumieniem i ledwie że nie krzyknął, gdy von Müller na końcu wypisał grubemi literami jedynkę z sześcioma tłustemi zerami i grubo ją podkreślił.

Nastąpiła chwila milczenia; Niemiec z tryumfem spoglądał na twarz francuzkiego szlachcica, a francuzki szlachcic z uwielbieniem na twarz niemieckiego kulturtregera.

Patrz pan — zawołał Noisette — i to dotychczas nie przyszło mi na myśl! nie przyszło nikomu z moich!

— My Niemcy, panie baronie, jesteśmy od tego w Europie, ażeby myśleć — z lisią galanterją zawołał von Müller, i ukłonił się nisko baronowi, a na twarzy jego zarysował się złośliwy uśmiech.

— Więc, panie baronie? — zawołał po chwili Müller, a głosem swym i tonem tym razem przypomniął zupełnie ton, jakim witał na początku rozmowy barona.

— Ale, panie, na honor, czynisz mi pan propozycją tak świetną, tak korzystną — a przytem płacisz...

— Tak, panie baronie, przytem płacę — dorzucił z naciskiem Niemiec.

— Więc odmowa z mojej strony byłaby nonsensem. Lecz zrozumiesz pan, że potrzebuję przy zawieraniu podobnej spółki mieć ze strony pańskiej gwarancją. — Tu baron pierwszemi trzema palcami prawej ręki pokazał na lewej dłoni chęć liczenia pieniędzy.

— A, to się rozumie, panie baronie! My Niemcy nie robimy nic bez gwarancji. Oto jest punktacja naszej umowy: pan baron ją podpiszesz, a ja pięć tysięcy talarów w tej chwili wypłacę. — Tu znów Müller wyciągnął z bocznej kieszeni surduta zapisany papier, a z nim razem i suto wyładowany banknotami pugilares.

W tej chwili przed oczami barona zajaśniał Paryż w całym swoim blasku, uśmiechnął się do niego nęcący półswiatek, ukazały mu się w perspektywie salony klubów, gdzie przez tak długi czas królował: nie namyślał się nawet przez jedną sekundę; schwycił za pióro, i nie czytając papieru, podpisał. Jednocześnie z tym podpisem spadła z oczu kobiety, która kochać umiała, łza, wielka, jak największy brylant korony francuzkiej. Gdyby umiano w owe czasy cenić takie brylanty, większą niezawodnie byłyby one ozdobą, aniżeli Kochinory i Regenty.

Müller liczył pieniądze na stole, baron gorątkowo się w nie wpatrywał, gdy w salonie ukazały się dwie nowe postacie: jedna przystrojona w strój, jakiego nie używano w Alzacji; drugą było młodziutkie dziewczę, z rozrzuconemi na wiatr puklami jasnych włosów, z żywym radosnym uśmiechem na ustach. Wrażenie tej główki jasnowłosej równało się zupełnie wrażeniu temu, jakie sprawiają na patrzących zazwyczaj muryllowskie aniołki. Poskoczyła ku matce, obcałowała jej oba policzki, potem kilka pieszczot udzieliła ojcu,

wkońcu zgrabnie dygnęła przed Niemcem i wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

— Ach, mateczko, mateczko, co-to za dziwni ludzie zajechali przed nasz ganek! W bryczce moc taka rzeczy, że dwoje ludzi z niej wysuwa tak swoje główki, jak ptaszyny dzióbki z gniazdka.

— Co ty mówisz, Stello? — spytała matka.

— Baronówna mówi dobrze — dorzucił von Müller — ci ludzie, to mój syn i moja żona.

Stella widocznie zrozumiała, że dalszym swoim śmiechem może zrobić przykrość gościowi, bo przerażała go natychmiast iz kokieterją właściwą młodym dziewczętom, z tą kokieterją, która do siebie pociągając musi, zawołała do matki, ale tak, żeby ją i von Müller słyszał:

— Tak, tak mateczko, ten przesliczny chłopiec włosy ma czarne, jak aksamit, oczy jak węgielki, jarzące i gdyby tylko był wyszedł z tych pierzy to chętniebym z nim zagrała w kroketa.

Pochwała ta, wychodząca z ust dziecięcych widocznie zrobiła wielką przyjemność Müllerowi, uśmiechnął się, ręką gładką brodę pogłaskał i od niechcenia niby dorzucił:

— O! baronówna mówi to tylko, co widziała. Mój Frycek wart więcej ze środka, aniżeli z wierzchu: dziecko sprytne, umie wiele, a mam nadzieję, że jeszcze więcej się nauczy. Śmieją się z nas w Europie, twierdząc, że jeśli dachówka spadnie z domu i uderzy przechodnia, to niezawodnie tym przechodniem będzie Szulc albo Müller, ale nikt w Europie powiedzieć nie może i nie mówi, ażeby dachówka uderzyła głupiego Müllera. Mój Frycek nie zawstydzi Müllerów wszystkich. Nasza wielka ojczyzna musi być z niego dumną; będzie on niósł jej sztandar wysoko; a przed tym sztandarem drzeć muszą wszyscy, bo to jest sztandar rozumu i cywilizacji!

Müller to mówił z ogniem, z zapalem takim, jakiego się po nim spodziewać nie można było po tym subtelnym rachunku, w którym przedstawiał korzyści finansowe swojego projektu.

Baron słuchał, ale myślał o Paryżu. Baronowa otarła drugą łzę, Stella przytuliła się do jej piersi.

Von Müller przypomniawszy sobie interes, w którym głównie tutaj przybył, spojrzał na barona, który niecierpliwie kręcił się na stołku, powstał z siedzenia i skłoniwszy się baronowej, ku drzwiom zmierzył. Szybko zszedł ze schodów, skoczył na furę, którąśmy już widzieli na początku opowiadania, energicznie zaciął chudą szkapę i w tumanie kurzu zginął. Za nim pobiegły tylko oczy doktora i Stelli przez okno. Baronowa wpatrywała się niespokojnie w twarz męża, który gorączkowo bębnił Marsylianę palcami na stole, przygwizdując zcicha.

Wszystkich myśli rozbiegły się jakoś w rozmaitych kierunkach, wszystkim smutek przytłaczał ducha; jeden tylko baron na ustach miał uśmiech i zadowolenie.

— To dziwny, głupi Niemiec — szepnął po małej pauzie.

— To mądry, sprytny a zły Niemiec — dorzucił dobitnie, obecny ostatnim słowem rozmowy barona z Niemcem, doktor — czy pan baron przeczytałeś to, coś podpisał?

— Ach! głupstwo, przecież mnie nie oszuka.

— Niezawodnie, ale napewne wyzyska.

— Dobrze, niech on mnie tutaj wyzyskuje, ja będę ich wyzyskiwać w Berlinie: nominacja moja za chwilę nastąpi, sam cesarz mi to przyrzekł; jesteśmy spokojni, gotowi na wszystko: czy prędzej czy później Berlin zobaczy francuzkie kartaczownice.

Doktor zamilkł, bo i na cóż daremnie miał przekonywać człowieka, który przekonać-by się nie pozwolił, objął tylko prawą ręką główkę jasnowłosej dziewczynki, do piersi ją przycisnął wymownie spojrzał na baronową i szepnął:

— Stelko, pójdziemy do naszych dzieci.

Dziewczę podniosło na mówiącego duże oczy, zadumana jej twarzyczka rozjaśniła się także. Stelka śpiesznie zawołała:

— Pójdźmy, o pójdźmy! tak dawno u nich nie byłam.

Po chwili w pokoju został się tylko baron i baronowa.

Milczeli przez czas niejaki, nareszcie baron ozwał się, szybko mówiąc:

— Chwała Bogu, ten prawdziwie cudowny wypadek z Niemcem umożliwił mi wyjazd do Paryża. Każ zaprzęgać; rzeczy jeszcze nierozpakowane, tem lepiej: nie będzie ambarasu. Kolej odchodzi dziś o wpół do ósmej: w sam czas zdążę.

Baronowa ośmieliła się zapytać:

— To znów jedziesz...?

— Ach! przecież kwasić się tutaj nie mogę. Obowiązki publiczne...

— A tu ich niema? — Baronowej lżą znów zaszło oko, baron ciągnął dalej.

— Nie dziwacz, proszę cię. Ty tu mnie zastępujesz we wszystkim, nawet lepiej ode mnie rządzić umiesz. Ja chybabym z nudów zwaryował; potrzebuję dla siebie szerszego świata, szerszego pola do działania.

— A jaką rolę odgrywam ja w twojem życiu? jaką odgrywa Stella?

— Zawsze tesame dzieciństwa! — krzyknął baron. — Boże drogi! Czyż ja należę do kategorii tych mężów i ojców tyranów, którzy krepują kroki swych żon i córek! Boże uchwaj, całe Mühlhausen jest na wasze rozporządzenie. Wy nawet lubicie takie życie. Wam Paryż by nie smakował. Nie możesz się zresztą skarżyć, najukochańsza żono — tu zaczął baron mówić z pewną ironią w głosie, każdy z wymawianych przez siebie wyrazów — na brak towarzystwa, masz przy sobie tak pełnego elegancyi i szyku doktora. Doskonały człowiek! Ja wcale się o niego nie gniewam, choć ma włosy przypruszone siwizną, nie przeszkadza mu to być w całym znaczeniu tego wyrazu pięknym mężczyzną: uwielbiam twój gust, pani baronowo!...

Te ostatnie słowa twarz baronowej pokryły purpurą; usta tak łagodne, o karminowej barwie, zbladły, oko zaiskrzyło się dziwnym płomieniem, wargę dolną drgać zaczęła nerwowo, czoło pokryło się zmarszczkami gniewu: trudno poznać było tę twarz w tej chwili, niedawno tak spokojną i rozanieloną. Zerwała się z krzesła nagle, iskrzący wzrok utopiła w twarzy męża i, ledwie oddychając, mówić zaczęła:

— Pan śmiesz do mnie, do swojej żony, mówić w ten sposób?! Przez cyniczne twoje usta przechodzą słowa będące dla mnie najwyższą obelgą. Ach! gdybyś tylko dla mnie... Już twoje życie całe... opuszczenie mnie... dziecka... tego domu obelgą było. Ale mniszła to wszystko, wierzyłam, że prędzej czy później tu powrócisz, że oddasz rodzinie, Francji, społeczeństwu to wszystko, czego od ciebie prawo mam wymagać — i przyjechałeś, przyjechałeś na to, aby do dawnych grzechów swoich dodać nowe, aby zedrzyć z moich oczu to bielmo nadziei i wiary, którem sama się ludziłam, aby w końcu przekonać, że jesteś jednym z tych, którzy prowadzą Francją na zatracenie. Słuchaj! Francja, ten kraj drogi, jest największą miłością moją na ziemi. Uczyli mnie jej ci, którzy, nie jak ty, płacili długi życia w budoarach kurtyzanek i przy zielonych stolikach gry... Dziś każesz mi tutaj wypełniać swoje obowiązki i pozwalasz — na co? Usta moje wymówić nie mogą: popełniasz bluźnierstwo względem mnie i względem człowieka, któremu zawdzięczasz dotąd to, że nie jesteś nędzarzem.

Baron, zdumiony, słuchał tych słów, nie spodziewał się tej energii w swej żonie — on jej nigdy taką nie widział. — wreszcie ochłonawszy nieco z pierwszego wrażenia, zawołał:

— Cóż to? kazanie?

— Bierz, jak chcesz, to, co ci mówię; ale słuchaj, tu po raz ostatni przemawia do ciebie żona. Ja chcę, ażebyś tutaj został, ażebyś tutaj pracował. Jeśli żądaniu memu zadość nie uczynisz, drzwi mego domu będą dla ciebie zamknięte; wejść tu możesz, ale mnie nie zastaniesz.

To rzekłszy baronowa z podniesioną dumnie głową, krokiem niepewnym, zdradzającym wzruszenie opuściła salon. A była dziwnie piękną, wymawiając ostatnie wyrazy; baron to nawet spostrzegł, monokl wsadził do prawego oka i pocałował wpatrywać się w znikającą we drzwiach sąsiedniego pokoju żonę, raczył nawet do siebie powiedzieć:

— Do diabła! ona jeszcze przesliczna! Gdyby

się chciała przenieść do Paryża, znalazłaby tam prawdziwe szczęście. Klnę się na honor: mogłaby zwrócić uwagę na siebie samego cesarza, — on się zna na tych rzeczach.

I jakoś smutniej i wolniej wydawał baron rozporządzenia do swojego wyjazdu, po tej rozmowie z żoną; nałóg jednak był silniejszym od chwilowych zachwyty. W pół godziny elegancki kabriolet niósł to zepsute dziecko Paryża do głównego celu, rozkoszy wszystkich ówczesnych zdechłaczków.

Było to już pod wieczór; zachodzące słońce złoćło brzegi szczytów gór, majających w oddali, natura zabierała się już do nocnego spoczynku, tumany par wodnych, ryczące bydło zodała, powracające do obór, przedwieczorny świergot ptaków, przygotowujących się już do snu zwolniony turkot kół fabrycznych dolatujący gdzieś z oddali. — wszystko to razem składało się w Mühlhausen na tę tajemniczą chwilę wieczoru, którą przyrównać-by można do opadającej na piersi głowy znużonego pracą człowieka. Jest coś smutnego w chwilach takich, coś co gniecie serce i umysł; wierzący — modlą się wtedy, ci — co nie wierzą — tęsknią, sami nie wiedząc zaczem.

Na tle tego wieczora w kłębach kurzu niknie karyolka pana barona, na ganku zaś pałacyku gonią ją okiem trzy znane nam już postacie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OSTATNIE UTWORY JOKAYA.

Gród Bogów. — Przez wszystkie piekła. — Ostatni Basza Budy — Bolivar.

(Dalszy ciąg).

Radosny okrzyk żołnierzy i pielgrzymów odpowiedział jego słowom, ale wykrzyknięto jeszcze głośniejszy, gdy Władysław oświadczył, że nie chce ani na chwilę zostać rozłączonym ze szwagrem, i drogim mu przyjacielem, postanawia przykuć się do niego żelaznym łańcuchem, aby we dwóch tworzyli razem jakoby osobę jedną, mającą wobec wrogów cztery ręce i cztery oczy. Gdyby jeden się poślizgnął, drugi go przytrzyma; gdyby ich otoczono, walczyć będą plecami oparci o siebie, a jeżeli jeden padnie w boju, ten, który zostanie żywym, uniesie z pomiędzy wrogów jego trupa.

I tak się stało, jak przepowiedział. Opasani w pół ciała jednym łańcuchem, którego dwa ogniwka końcowe zostały na moc zanitowane ze sobą, poszli szwagrowie przykładnie drzeć się pod górę łożyskiem wyschłego potoku, gdy dołem księża odprawiali na ich intencją mszę świętą, pielgrzymi śpiewali litanie i pieśni nabożne, a oddział wyborowych wojowników pod wodzą samego króla Andrzeja piał się chyłkiem z niemi. Już się dostano do cytadeli, już okrzyk świętego hasła: — Jezu Chryste! zabrzmiał zwycięzko na zdobytym jej szańcu, gdy naraz stało się nieszczęście okrutne. Strzała saraceńska przeszła pierś jednego ze skutych rycerzy!

Bruniskald to był. Jęk żalu, wydany przez rycerzy walczących na przodzie, spowodował w szeregach dalszych omyłkę nieszczęsną, która sprowadziła płoch i zamieszanie — rozsypkę Chrześcijan. Krzyknięto, że zginął król, i poczęto uciekać z góry na dół, potykając się i zwalając jedni na drugich, gdy z tyłu wpadał im na karki i ciało rąbał bezlitosnie dziki, rozjuszony wróg. Król węgierski, Rudolf, który opisał tę wyprawę Krzyżowców na Tabor, został w niej obraz kłęski okrutnej: trwogi, zamieszania i rzezi Chrześcijan, wśród której ten z rycerzy skutych, który ocalał, doniósł w objęciach swoich towarzysza: trzymając go u piersi własnej ręki lewej, gdy ręka prawa zasłaniała go przed ciosemi wrogów i odbijała ich natarcie. Żywego jeszcze rozkuto z żelaznego łańcucha i złożono w namiocie na łożu, które stało mu się miejscem ostatniego na ziemi spoczynku. Szwagier kłęczal przy nim na ziemi gołej i modlił się...

Czy modlitwa to była, czy raczej nie rozmy-

ślenia ciężkie i bolesne, bo sumienie jego mówiło mu, że on, kłęczący u tego łoża śmierci wśród piaszczystych pustyń Palestyny, jest tu nie z pożądanego pragnienia, aby grób Zbawiciela wyrwać z rąk niewiernych, ale na to, aby tu wykopać mogiłę dla szwagra swego i żonę jego wdową uczynić. — Tak! mówiło mu sumienie, zgrozą spełnionego grzechu przeniknione. — Dlatego tyś tu jest, aby tu był i ten nieszczęśliwy, który umiera, jakgdyby zamordowany przez ciebie.

— Och! — odpowiadał grzesznik, przełknięty wielkością swej winy — czyżem go nie bronił, nie zasłaniał do chwili ostatniej ciałem własnym... Chciałem mu zaskarbić łaskę Bożą i sławę u ludzi...

— Nie... chciałeś go oderwać od żony młodej, nie pozwoliłeś nawet ich ustom spotkać się w jednym pocałunku miłosnym. Wolałeś sam pociągnąć na kraj świata, byle i jego przy niej nie było... Śmierć nieszczęśliwego spadnie na duszę twoją

W tej chwili umierający ocknął się z drzemania ostatniego już na ziemi. — Umieram... rzekł. Jutro ciało moje zaczną robaki w ziemi toczyć.

— Jutro dusza twoja będzie w niebiosach — odparł mu szwagier zcicha.

— Ale nie ujrzę już na ziemi wdzięcznej Anny mojej... O, sieroto ty i wdowo! opuszczam cię na zawsze, rozwiedziony z tobą okrutnie, wtedy, gdy dotykał ustami czary naszej miłości. Nigdy, nigdy już ramiona moje nie opaszą cię, nigdy głowa twoja nie spocznie na piersi mojej...

— Połączycie się w wiekuiściej szczęśliwości niebios — mówił drżącymi ustami kłęczący — przysięgam ci, bracie mój, że trupa twego odwiezę Annie w tramnie szklanej. Sam odwiezę, sam jej oddam ciało twoje, sam... przysięgam ci...

— Nie przysięgaj... — odparł umierający surowo — nie przysięgaj, bo nie dotrzymasz. Śmierć odsłania mi mgły przyszości, widzę jakoby łańcuch, którym się skuleś ze mną, rozkutym nie został, widzę, że cię wiąże do mnie, — widzę, że pozostaniesz tu na zawsze, gdzie ja pozostaję, nie wrócisz do ziemi ojczystej!

— Chybaby się stał cud... cud miłości... — dodał i usta zbieleły wydały westchnienie ciche, w którym dusza jego uszła z ciała.

Tu dopiero rozpoczyna się rzeczywiste akcja, która daje tytuł książce. Gdy rycerze węgierscy walczyli wśród pustyń Azji, w ojczyźnie ich tęsknota pożerała serca kobiet i na wieży zamku Czombor dniem i nocą czujny wartownik patrzył w głąb doliny Homorod, zali nie widać wracających do domu? Wartownikiem tym była kobieta. O każdej godzinie, tak w południe, jak o północy, o wschodzie i zachodzie słońca, widać ją było w oknie wieży, w białym rąbku na głowie i ludzie okoliczni poczęli się jej lękać, poczęli mówić o czarach; bo któż bez pomocy sił nadziemskich mógłby nigdy nie spoczywać, nigdy nie jeść, ani pić — nigdy się nie modlić? Ale ludzie się mylili, bo nie była to kobieta jedna, ale kobiet dwie, zarówno tęskniących i niespokojnych, które też zmieniały się kolejno, aby zawsze jedne oczy, oczy niestrudzonej miłości, patrzyły na drogę wiodącą do zamku z głębi gór Siedmiogrodu. Dwie siostry, Marya i Anna, wyglądały tak z wieży zamkowej, wypatrując ukochanych rycerzy, odkąd tylko rozeszła się pogłoska, że król Andrzej wraca do kraju. Ale wracał on długo, długo. Pielgrzymi i rycerze pojedynczy, giernkowie panów, którzy polegali, a często i kupy ciurów obozowych, którzy się odbili od orszaków swoich, wszystko to wlokło się a przyjmowane po zamkach i dworach, opowiadało; o tych którzy ciągnęli w tyle — opowiadało wieści niesłychane o krainach zwiedzonych, o okropnościach przebytych, cudach i czarach, jakie widzieli na własne oczy. Każdy z tych, których przyjęto w zamku Czombor, znał i widział obu małżonków pań zamkowych, i wróżył ich powrót rychły, bo byli już niedaleko, niedaleko. Upłynęło tak niemało czasu, ale wierne wartowniczkę nie znużyły się wyglądać na drogę: aż raz, gdy starsza siostra odbywała poranną straż swoją, ukazał się jezdzic, wiodący ze sobą dwa luźne konie. Jechał powoli, powoli! Głowę miał spuszczoną, jakgdyby znużony drogą drzemał, przecież gdy wje-

chał już na drogę, prowadzącą wprost do zamku, jeden z koni, które prowadził, zarżał radośnie i serce wartowniczeki uderżyło. Czyż to nie jest koń jej małżonka, ognisty kary ogier jej ukochanego Laszlo?

A ten drugi, siwy rumak, który zstąpił tak powoli, czy to nie na nim wyjeżdżał zjad Henning Bruniskald?

Maryja dała znak czujności i obie siostry zbiegły w dziedziniec zamkowy, niespokojne, wzruszone, bo któż to przyprowadzał im konie ich mężów?

Był to giermek Walenty, który wyjechał młodzieńcem a wracał starcem. Tak był zmęczonym, że dwóch ludzi zesadzać go musiało z konia, a gdy mu zdjęto z głowy hełm, ukazała się broda biała i nie poznano-by go, gdyby na zamku nie było jego matki, która sama jedna nie wątpiła, że to on. Zanim przemówił, już wykrzyknęła: Mój syn—i był to jej syn rzeczywiście, ale powracał sam...

Henning Bruniskald spoczął w wieki w Ziemi Świętej; Władysław Lebee dostał się do niewoli sultana saraceńskiego i jęczy w niej nad brzegami Martwego Morza—oto co wierny giermek doniósł paniom swoim. Anna rzuciła się na ziemię, płacząc.—O ukochany mój! o ukochany mój!—wołała i w rozpacz darła na sobie suknie, jakich nie miała już włożyć nigdy. Aż do śmierci odziewać ją będzie wdowia szata żałoby.

Maryja nie płakała, ale biorąc rękę giermka, powiodła go ku zamkowi, nakazując, aby mu tam dano najwygodniejszą komnatę i karmiono go najwygodniejszemi potrawami.—Odpoczywaj, mówiła mu głosem mężnym; gdy wrócisz do sił, pojedziemy oboje, aby odszukać męża mego, a twego pana i wykupić go z niewoli. Cokolwiek zażądamy, dam, choćby mi nie zostało nic, choćbym miała żywić pracą rąk moich jego i siebie.

— Tak, pani moja, wykupim go i wolnego przywiedziem do ojczyzny, odpowiedział jej Walenty. Na szczęście sultanem niewiernych nie jest już stary Malek Adel, ale syn jego.

— Czyż tamten był okrutniejszy i twardszego serca?

— Nie, ale tamten zaniewidział, i nie mógłby widzieć, pani moja, anielskiej twojej twarzy.

Anielską była nietylko twarz, ale i dusza Maryi. Choć Walenty ostrzegł ją, że wojsko Krzyżowców pito nieraz wodę z cuchnących bagien, że nieraz głód ścisnąć musi wnętrzności podróżujących przez pustynie niebieskim ogniem palone, że co krok spotkać ich tam może śmierć okrutna od dzikich zwierząt i dzikszych jeszcze ludzi.—nie cofnęła się jednak w przedsięwzięciu swoim. Zabrała z domu wszystko złoto i srebro, wszystkie drogie szaty i klejnoty swoje, pozostawiała dobra swe posagowe i zebrawszy w ten sposób wielkie summy, pojechała szukać męża swego nad Morze Martwe, pomiędzy Tyrem i Sydonem. Gdy jej Walenty mówił, że Muzułmanie mają rację wierzyć w siedm piekieł, bo kto przebędzie ich kraj, przebędzie ich tyleż, ona odrzekła, że za wszystkimi temi piekami, leży przecież raj, do którego chce się dostać choćby na godzinę przed śmiercią. Tym rajem wiernej małżonki było ujście oblicza mężowskiego i zdjęcie z jego rąk kajdan niewoli.

I przebyła też te wszystkie piekła odważna, silna i nieskalana. Sama z wiernym służą nie mogła puzzać się w drogę tak daleką i przyłączyć się musiała do karawany pielgrzymów, którzy ślubowali dostać się do Grobu Pańskiego boso. Nikt nie miał nawet zakonniczych trepek na nogach, wszystkich okrywały grube szaty, jakgdyby habity mnisze z kapticami. Nawet rycerze i panie szlacheckiego rodu nie mogli stanąć tu wyjątku. Siedząc na koniach, musieli i oni być boso i Maryja podobnie uczynić musiała. Do tego ślubu dodano jeszcze, aby wszyscy mężczyźni mieli gołe głowy, a wszystkie kobiety były zakryte zasłonami. Byli przecie między tym tłumem postacie dzikie i straszne, okrutni zbrodniarze i zbrodniarki, mężobójcy i świętokradcy, dzieciobójcy i trucielki—pokutnicy za ciężkie grzechy swoje, grzeszący przecież jeszcze, bo były to natury złe lub ciężko zepsute. Maryja jedna i towarzyszy jej byli czystymi wśród nich

i Maryja poznała, że jest to już dla niej piekło straszliwe przebywać wpośród nich, ale było to dopiero piekło pierwsze, i jak lekkie, o! jak lekkie do zniesienia w porównaniu z następnymi. Straciła wśród drogi swego doradcę i obrońcę wiernego, pochowała go własnymi rękami w jaskini dzikiej, i zaraz u jego grobu przeszła przez piekło wstrętu i trwogi strasznej, widząc wyciągnięte ku sobie ramiona zbrodniczego potwora. Ratunek, który jej dano, pochodził od istoty tajemniczej, odzianej fałszywie w szaty kapłańskie. Był to nie ksiądz chrześcijański, kapelan bosej karawany, ale emissaryusz nieznanego nikomu, a nawet królom i cesarzom na tronach strasznej, potęgi: *Pana Gór* przed którym drżeli wszyscy inni panowie świata, bo jego złoto i jego wysłańcy „*Dai Alboat*“ to jest sługi „*Pana Gór*“ wszystko mogli na świecie całym, a porywali się na rzeczy ogromne i dokonywali ich, nie cofając się przed środkiem żadnym, byle wiódł do celu. Krzyżowcy, którym Pan Gór nieraz pomagał w ich walkach z Saracenami, lecz nieraz tak ocieślał nad nimi karzącą swą rękę, że wymawiali nazwisko jego z trwogą, cóż więc uczuła kobieta samotna, gdy dowiedziała się, że popadła w moc jego wysłańca? Ten jej powiedział: —Nie usiłuj wyrwać się z rąk moich, bo są silne i nie puszcza cię. Potrzeba mi kobiety takiej, jak ty... Władca mój, Pan Gór, wysłał mię, aby szukać takiej, która posiada wiele mężstwa i wiele miłości, jest bardzo słabą i razem bardzo mocną. To ty jesteś... Potrzeba mi ciebie dla celów moich, w zamian zaś pomogę ci, abys dopięła celu twego—wyzwoliła męża z niewoli i wróciła z nim do ojczyzny. Czy przystajesz na to? Ostrzegam cię, że każę ci spuszczać się w głąb' otchłani piekielnych...

— Jeżeli poza niemi znajdę ten raj, którego szukam, uczynię to chętnie.

I uczyniła, przedarła się przez wszystkie piekła znane ludzkości: przez piekło strachu, przerażenia, niemocy, którą daje wielkie znużenie, przez piekło pokus i ponęt słodkich: przez wszystkie, a wszystkie piekła świata,—czy przecieź dosięgnęła kiedy raj?

Gdy z uratowanym mężem wróciła do rodzinnego zamku, gdy radości pełna czuła, że serce jej rozplywa się w uczuciu, jakgdyby rajskiej rozkoszy, spojrzenie jej padło na przedmiot niewidziany od lat wielu: przejrzała się w zwierciadle swej gotowalni i ujrzała nagle, że jest siwowłosą, starą kobietą. Czy wody Martwego Morza, czy tęsknoty, niepokoje, trudy podróży skróciły lata jej młodości i zgasiły blask jej oczu, zabrały lilie i róże jej lic, zbledziły jej usta, niegdys purpurowe?

Nieszczęśliwa załamała ręce, bo siostra jej Anna wybiegła teraz na jej spotkanie świeża i wdzięczna jak kwiat róży, świeżo rozwinięty. Zawsze młodsza i piękniejsza od niej, teraz wyglądała jak jej córka—i to córka tak urodziwa jak matka nigdy urodziwą nie była.

Gdy na powitanie szwagra, powracającego jakgdyby z grobu, Anna rzuciła się w jego objęcia, Maryja widziała, jak ramiona Władysława zaciśnęły się namiętnie i na drugi dzień oświadczyła mężowi i siostrze, że spełniając ślub, uczyniony w podróży wstępuje do pobliskiego klasztoru Karmelitanek. Mąż okrzyknął się przeciw temu i prosił, błagał na klęczkach, aby nie czyniła tego, nie opuszczała go, wybawionego przez nią, ale gdy mówiąc to, całował jej ręce, żona czuła, że jego pocałunki są zimne. Umarła w dziewięć tygodni po obleczeniu szat zakonnych, ale chodziła pomiędzy ludźmi pogłoska, jakoby nie było to prawdą i że w rodzinnym grobie primorów Lebee spoczęła tylko lalka woskowa, a Maryja przez udaną tę śmierć chciała tylko usunąć przeszkodę, która jedynie dzieliła jeszcze jej męża od szczęścia.

To już może nie było dla biednej przebywaniem jednego jeszcze i ostatniego piekła życia—nie! Ta ofiara spokojna i własnowolna, to podniesienie się sercem na wyżyny miłości, której nie mąci już egoizm i kochanie siebie, wyższe niż miłość drogiego przedmiotu—to może właśnie było wkroczeniem jej do tego raj, który jest niczem niedającą się zamąć błogością uczzonego w sobie serca. Teraz kochała, jak aniołowie: bez namię-

tności i bez samolubstwa, i dostąpiła czystej szczęśliwości aniołów.

Jokay zakocha książkę wykrzykiem: „Jakież to ogromny, ogromny poświęcenia świat zanikać się może w jednym sercu kochającej kobiety!“

Dodaje on przytem, że w historii Maryi Lebee nie ma nic skomponowanego—nic coby wymyślił i dodał od siebie. Gdyby tak było, ludzie-by go wyśmiali, że tworzy rzeczy nienaturalne i z prawdą życia niezgodne, on przecież przepisał tylko starą kronikę—przepisał ją wiernie.

„Ostatni Basza Budy“ jest to również z kronik wyjęta narracja wypadków historycznych, na których tle występuje rycerska postać węgierskiego partyzanta, będącego węzłem skupiającej się wkoło niego opowieści. Jest rok 1685. Złamana przez Sobieskiego pod Wiedniem potęgą Turków ciężko jeszcze nad państwem austriackim w Węgrzech, których starożytna stolica, Buda, zostaje w rękę Osmanów, więcej niżeli wiek cały—lat 144. Sześciokrotnie oblegana, nie została jednak odbita dotąd przez Chrześcijan, bo też płomień patryotycznego zapalu nie zagrzewał w tych walkach serc węgierskich, i przy odsłonięciu się przed czytelnikiem akcyi powieściowej znajdujemy w Budzie, obok rządzącego tam tureckiego baszy Abdurrahma, inaczey Abdi-Baszy, rycerza węgierskiego z partyi Tökölego. Franciszek Petnehazy, pułkownik węgierskich malkotentów, Karuczánów, to główny bohater powieści—piękna postać gorącego patrioty, niemającego ani stronnictwa, ani ambicyi innej nad interes i szczęście ojczyzny, dla której walczy do ostatniej kropli krwi, którą kocha nad wszystko i dla której gotów jest zawsze umrzeć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 31 Sierpnia 1885 r.

Tajemniczy wypadek *Gyp'a* (Pani Martel). — Kradzieże i zabójstwa w Paryżu i w okolicach. — Napad na Bohdana Zaleskiego. — Nagły rygorizm Prezydenta Grévego. — Wykonanie wyroków śmierci. — Przyszłe wybory i kobiety wobec kwestyi wyborczej. — Odwrotna strona medalu. — P. Gérard i jego dzieło: *Sur la génération artificielle*. — Paryzka Akademia Nauk i profesor Wróblewski. — Polacy piszący po francuzku: Trawiński, Stryjeński, Szreter. — Nowa Powieść Juliusza Verne'a. — Cholera w Marsylii i w Tulonie. — Szlachetne poświęcenie się młodej kobiety. — Pogrzeb admirała Courbet'a.

(Dokończenie)

Na uczyniony zarzut p. Wróblewskiemu, że w swoich doświadczeniach posługiwał się pompką wynalezioną przez p. Cailleteta, odpowiada on, że tak jest w istocie, ale ta pompka nie jest wcale żadnym sekretem, znajduje się bowiem w handlu i jest już dwu-, czy trzechsetną z porządku. Tak więc z umiarkowaniem, ale z argumentacją niezachwianą mocy p. Wróblewski odparł zwycięzko wszystkie oskarżenia sekretarza generalnego. Uczony nasz ziomek nie ograbił nikogo, nie przybierał się w pawie piórka, cudzemi laureami czoła sobie nie zdobył — tem mniej laureami Cailletet'a, który ich wcale nie miał. Ale, niestety! wystąpienie p. Jamina, miało tę korzyść i ten zaszczyt, że wyszło na świat w takim przeglądzie, jakim jest *Revue des deux Mondes*, i otrzymało rozgłos, jakiego obrona, wydrukowana jako broszura, podpisana imieniem polskiem, nie doścignie nigdy... Jestto jeden z owych tysiącznych sposobików, jakimi się posługują szczęśliwi Francuzi, nietylko przeciw nam, ale przeciw wszystkim, którzy mają nieszczęście wlażyć im w drogę! To nie przeszkadza wcale, że ich kochamy, na rękach ich nosimy, i my i inni—jak tego mamy krzyczący dowód w tem, co się działo przed kilku dniami na Węgrzech, gdzie kilku-kunastu Francuzów — i to nie najczystszej wody—przyjmowano z taką wystawą, z takim zapalem, jakgdyby to byli zbawcy ojczyzny. A kiedy człowiek pomyśli, że ci ludzie, przed którymi Węgrzy pełniają na klęczkach—przedrwiwają już so-

bie dziś zlekka i z tego entuzjazmu i z tych „Eljenów“ i jutro ani pomyśla o tem nawet, jaki zaciągnęli obowiązek względem tego kraju... nie wiem, czemu się tu należy więcej dziwić: czy obojętnej płochości Francuzów; czy... jakby to nazwać—naiwności Węgrów?

Mówiąc o piśmiennictwie i nauce polskiej we Francji, nie zapomnijmy tu dodać szczegółów o tem, co może w przyszłości mieć wpływ bardzo zbawienny na rozszerzenie się tu wiadomości o naszej literaturze. Pomiedzy uczniami Szkoły Batinolskiej w Paryżu jest kilku młodych, którzy, zrodzeni we Francji i znający, naturalnie, język francuzki, jak rodowici Francuzi, poświęcają swój czas, wolny od zajęć zarobkowych w tutejszej administracji, tłumaczeniu na język francuzki utworów literatury obcych, a szczególnie polskiej. Zapisujemy tu z przyjemnością imię p. Fle. Trawińskiego, który dokonał wybornie przekładu ślicznego odczytu pani Duchńskiej o Brodzińskim. Przekład odznacza się czystą, piękną francuzczyzną i ma tę niezmierną zaletę, że daje poznać jednego z naszych większych poetów i literatów najlepszego stylu w takim świetle, w jakim umiała go postawić sama autorka, obdarzona wdzięcznym, do serca polskiego wprost idącym, poetycznym talentem.

W Bibliotece Pisarzy Współczesnych, u Kalmana Levy'ego, wyszło tłumaczenie z angielskiego, Wiliama Black'a, powieści pod tytułem: *Księżniczka z Tide* przez p. Kazimierza Stryjeńskiego. Jestto również dawniejszy uczeń Szkoły Batinolskiej, a tłumaczenie tej powieści, przejętej głębokim uczuciem moralnym twórcy i zalecającej się wdzięczną formą, odznacza się jeszcze czystością francuzczyzny, co jej nadaje jakby piętno obywatelstwa w dziedzinie literatury francuzkiej, gdzie przekład rzadko łączy powab wyśłowienia z dokładnością.

W belletryście francuzkiej nic wybitnego, nic, coby zasługiwało na szczególną uwagę. Jest to prawdziwe bezrobocie literackie. Wielcy koryfeusz powieści używają świata i grubo zarobionych pieniędzy, a młodszy bracia ostrożnie stawiają kroki na tym oślizgłym gruncie księgarskich obrotów, gdzie tak łatwo wywinąć koziołka. Nie mam więc nic na teraz dla moich czytelników, albo prawie nic. Bo książka, o której powiem słówko, całą swoją wagę wyciąga, nie z samej treści i wewnętrznej, szczególnej wartości, ale z kilku słów, któremi autor, Juliusz Verne, poświęcił ją Dumasowi—i któremi ten mu odpowiedział.

Nie wchodzę tu w rozbiór tej powieści, albowiem wyszedł dopiero jej tom I, to jest początek: należy więc czekać końca. Utwór ten przypomina trochę powieść Jokaja, w której pewne wypadki z końca r. 1825 dostarczyły węgierskiemu poecie powieściopisarzowi tworzywa do rzeczy bardzo zajmującej. Tu chodzi o sprzysiężenie węgierskie przed r. 1848—sprzysiężenie, które się nie udało, a którego główny przewódca, cudownie ocalony od zguby, szuka sposobu pomśzczenia się na zdrójcy. W tym I tomie mamy właśnie opis dziwnego wydobycia się z więzienia. Tego rodzaju awantury bardzo często służyły tyłu już powieściopisarzom za główną sprężynę dramatycznych kombinacji, iż trzeba było tak obfitej w pomysły wyobraźni, jaką posiada Verne, żeby raz jeszcze stworzyć nowe i wielce zajmujące opowiadanie.

Albowiem wróćmy do tego zaofiarowania, które jest głównym—jak tu powiadają *ówiekim* tej książki. Oto w jakich słowach poświęca ją autor Dumasowi:

„Poświęcam ci tę książkę, poświęcając ją zarazem pamięci tego genialnego bazarza, jakim był Alexander Dumas, twój ojciec. W tem dziele próbowałem zrobić z mego Matiasza Sandorfa pewien rodzaj Monte-Christo nadzwyczajnych podróży. Proszę, abys przyjął dedykacją tej książki, jako dowód mojej głębokiej przyjaźni
Juliusz Verne.“

Oto jak mu odpowiedział Dumas:

Paryż, d. 23 Czerwca 1885 r.

Kochany przyjacielu!

„Bardzo jestem wzruszony tą dobrą twoją myślą, iż mi poświęcasz *Macieja Sandorfa*... rozpo-

czną czytanie zaraz po powrocie, w Piątek albo w Sobotę. O! jakże miałeś wielką słusność w swoim poświęceniu, zespolić pamięć ojca z przyjaźnią dla syna!..

„Nikt nie byłby szczęśliwszym od autora *Monte-Christa*, czytając twoje świetne, oryginalne, porwijące fantazje. Jest pomiędzy tobą a nim widoczne pokrewieństwo literackie—mówiąc politeracku—tyś bardziej, niż ja, syn jego; a ja, od tak już dawna, kocham cię serdecznie, że miło mi jest być twoim bratem.

„Dziękuję ci raz jeszcze za twoją, tak stałą, przyjaźń, a o mojej zapewniam cię raz jeszcze z całego serca.

Alexander Dumas.“

Myślałem, że nim książka was dojdzie, nim się dostanie do rąk naszych czytelników, będzie im przyjemnie przeczytać te słów kilka, które z tak wdzięcznym a przyjaznym uczuciem wymieniają znakomici pisarze we Francji. Nie zdarza się to często: bo i tu, jak u nas, jak wszędzie, szczerą przyjaźń, to rzecz bardzo rzadka.

Zresztą na bruku tutejszym, pustki i nudy, nie nie ocuci znużenia; człowiek poziewa i nawet obojętnie spogląda na te wybrzeża południowe, na których dziś znowu, jak roku zeszłego, groźne widmo morowej zarazy rozciąga swój żalobny całun. Ze wszystkim człowiek może się żyć i oswoić. Dawniej sama wieść o tem, zdalęka jeszcze, zza morza, zza oceanu, zza gór—zabijała ludzi; dziś, wśród najstraszniejszej plagi, ludzie pędzą w tym wirze ze swymi starymi słabościami, wadami, namiętnościami, jakgdyby każdy z nich rozpoczynał życie z kontraktem assekuracyjnym w kieszeni na lat pięćdziesiąt! Zbrodnia, występki i rozpusta, nie ustępują kroku nawet zarazie... a od czasu do czasu, wśród tej nawałnicy, wśród tego odmetu, jakby promień niebieskiej jasności, jakby czarowny powiew cudownej woni, cnota zstępuje wśród ludzi, i na tej zasłonie mgły szarej roztacza nieśmiertelną tęczę, jakby przypominała, że stare przymierze z niebem stoi jeszcze w całej swej sile...

Oto, kiedy wszystko nam każe wątpić o ludziach, kiedy na żadnym obliczu nie dojrzysz, zdaje się, ani śladu tego, coby było „na obraz i podobieństwo boskie“—oto powstaje postać, urocza, piękna, nad wszelki wyraz—kobieta młoda, inteligentna, bogata,—kobieta, której niebiosy cały swój urok na głowę wylały. Na pierwszą wieść o straszliwej zarazie w Marsylii, spokojnie, cicho, poprostu idzie w tę rozwartą lwią paszczę—idzie służyć cierpiącym i walczyć z „Błagą Dziewicą“.

Skromna i cicha—służy tam jak ostatnia służka szpitalna; wśród walecznego zastępu Sióstr Miłosierdzia zadziwia je swoim spokojem i poświęceniem; ukradkiem, przez dziesiątą rękę, sypie hojnie złotem... a tak jest pokorną, że nikomu nie przyszło nawet do głowy, iż to może być, nie mówię: „wielkie imię“—nie, bo jej rodzina, to są dzieci tego poczciwego ludu, co chodzi za pługiem; ale, że to może być wiejska bogaczka, szczęśliwa z najszczęśliwszych, pełna rozumu i talentu kobieta.

Żałuję, że mi nie wolno zdjąć maski z tej szlachetnej twarzy, ale przypuszczony do tej tajemnicy, jako stary przyjaciel rodziny, jako ten, na którego niegdyś kolanach ta śliczna pieszczoszka pierwsze swe odtanńczyła tany: nie śmiem, nawet w najlepszej intencji, dla przykładu innych, wymówić tego nazwiska! Powiedźcie sami: jakie-to skarby cnoty i miłosierdzia muszą leżeć w tem młodem sercu, które się tak wysoko umiało podnieść bez żadnych, a żadnych osobistych względów!

A kiedy ten prawdziwy posłannik niebieski tak dzielnie trzyma sztandar godności ludzkiej, anielskie jej spojrzenia mogą spocząć z chlubą na ciałnie tej wielkiej ofiary *powinności*, którą prowadzą do ojczyzny zdaleka, zza stu mórz, i sto rzek, uientuleni w żalu towarzysze broni. W tej chwili do brzegów południowych przybija okręt prowadzący zwłoki admirała Courbeta, który, trapiiony straszną chorobą, kiedy mu lekarze i towarzysze broni radzili, jako jedyny i ostatni ratunek, powrót do ojczyzny i nalegali na to usilnie: „Ja miałbym opuścić te moje waleczne dzieci?—powiedział

wskazując na majtków—nie, nigdy!“—I oddał życie, ale pozostał wiernym *powinności* i honorowi narodowego sztandaru. W Piątek odbyły się pontyfikalne exekwie w Kościele Inwalidów, gdzie w przeddzień przywiezione ciało z Hyères złożone zostało w jarzącej kaplicy. Obchód żałobny celebrował ksiądz arcybiskup Larissy, koadjutor kardynała Arcybiskupa Paryżskiego, któremu stan zdrowia nie pozwolił przewodniczyć na tej ceremonii. Niewielki kościół był jak nabity, a wiele osób, mających bilety do wejścia, musiało zostać nazewnątrz, gdzie się znaleźli w licznej i dobrej kompanii, niezmiernego tłumy, który zalegał Plac Inwalidów i poboczne ulice.

Tłum ten zbiegł się tak licznie, pomimo deszczu, który, jak nazłość, lał jakby z cebra, zbiegł się, prowadzony uczuciem prawdziwego żalu po stracie jednego ze swych najdzielniejszych braci. Był to prawdziwie wzruszający widok tej narodowej żałoby. Rząd, to jest ministerium, któremu obchód religijny nie był do smaku, nie uczyniło tu ze swej strony, żadnego wysiłku—przeciwnie! Nie można mu mieć tego za złe: po takim wysileniu, jakie zrobiło dla W. Hugo, musiało—jak tu mówią—„odstawić drabinę.“

Po skończonych exekwiach wyniesiono trumnę i umieszczoną na katafalku urządzonym pod zewnętrzną kolumnadą kościoła, gdzie liczne oddziały wojska i marynarki, oddały mu ostatnie wojskowe honory, przy wystrzałach z dział ustawionych przed Pałacem Inwalidów. Nazajutrz ciało odwiezione zostało do rodzinnego miasta walecznego admirała, Abbeville, gdzie się odbędzie pogrzeb d. 1 Września. Pomimo ulewy, liczny tłum zebrany, odprowadził do koszar oddział marynarzy, deputowany na tę ceremonię z okrętu *Bayard*, na którym walczył i skończył życie admirał Courbet,—z nieustannymi okrzykami:—Niech żyją marynarze! Niech żyje marynarka! Cześć i chwała admirałowi!“ „Niech Francya!“—odpowiadali towarzysze broni zmarłego.

A teraz, zamykając tę kronikę i raz jeszcze rzucając wzrok na te dwie postacie: na tę kobietę, posługującą w szpitalu, i na tego żołnierza zstępującego z taką wspaniałością duchową do grobu,—powiedzmy: szczęśliwy to jeszcze kraj, szczęśliwa ojczyzna, gdzie takie przykłady podnoszą serce, choćby stan rzeczy publicznej był niewiedzieć jak niepomysłnym. Dlatego może taką oni miłość mają u świata!

Kartki z wycieczki do Pesztu.

(Dalszy ciąg).

III.

Pawilon królewski, pawilon sztuk, Rolnictwo i leśnictwo.—Przełaj domowy i szkoły.—Kroacza i Sławonia.—Wschód.—Dział techniczny.—Węgierki. Rzut oka na gmachy, kościoły, pomniki i osoblności Budapesztu.

Słusznie poszczycić się może miasto Peszt swoim pawilonem; jest przecież na wystawie jeszcze inny pawilon, którym się, nietylko Peszteńcy, ale Węgrzy wszyscy szczycą: pawilon królewski (király-pavillon). Jest to niespodzianka, dar dla króla, cacko bardzo kosztowne, cudo sztuki i pracy, na jakie tylko Węgrzy zdobyć się mogli. Huhać, a nie patrzeć na ten pałacyk zaczarowany: to też publiczność mogła tylko przez podwoje otwarte z kurrytarzy do wnętrza komnat zazięrać. Każdy gwoździć jest tutaj dziełem sztuki. Budowniczo, malarze-artysci, sztukatorzy i całe szeregi przedstawicieli sztuki, ornamentyki i rzemiosł podali sobie ręce, aby stworzyć wszystko, na co się tylko pomysłowość człowieka zdobyć może. Nawet suchy i lakoniczny katalog wystawy opiewa: na tem polu trudno konkurrować z Węgrami.

Imponujący gmach w stylu Odrodzenia wzniesiono na przybytek sztuki; zajmuje on 1,250 me-

trów kwadratowych przestrzeni; kosza budowy wynoszą 105 000 guldenów, same ozdoby majolikowe kosztują 20 000 guld. Szkło, pokrywające większą część dachu, przepuszcza światło do głębi sal środkowych, w których umieszczono około 200 obrazów; boczne galerie obwieszono drobniejszymi obrazami, planami i okazami sztuk innych. Pierwszą salę od wejścia zajmują rzeźby; niektóre z nich są wielkich rozmiarów, jak Wenus i Amor nieżyjącego już artysty Huszara. Z obrazów najliczniej i najlepiej przedstawiają się portrety; to samo już daje pojęcie o kierunku malarstwa węgierskiego. Między dziełami węgierskich malarzy, jak słynny Chrystus na krzyżu, Munkaczego, Męczennik Chrześcijanin, Telekiego, niezbyt wielki, ale uderzający obraz: Śmierć cygana, Valentynego, słynne Gwiazdy spadające, Zichy'ego, i inne; znaleźliśmy kilka płócien naszego malarza Horowitza. Snaż urodzenie lub inne okoliczności pozwoliły mu wystąpić do konkursu, jako Węgrowi; otrzymał też podobno wielką nagrodę. Przedewszystkiem uderzyło nas kilka pięknych polskich portretów jego pędzla, jak Wincentego Majewskiego z Warszawy i księżny Leonowej Sapieżyny. Zwraca też uwagę dobry obraz tego artysty; przedstawiający małżeństwo, wpatrujące się z miłością w dzieciątko. Malarstwo historyczne bardzo skąpo było tu reprezentowane. Wyznajemy szczerze, że gmach sam i jego akcesorya więcej nam zainponowały, niż nieliczne dzieła sztuki węgierskiej.

Gmach główny, pawilon królewski i pawilon sztuki budowano z materiałów trwałych i w taki sposób, aby pozostały na miejscu, jako pamiątka wystawy, jako ozdoba lasku miejskiego; inne budynki są czasowe.

Tuż obok gmachu głównego od strony wschodniej, mieści się pawilon leśny (erdészeti pavillon); już struktura jego i zewnętrzne otoczenie w zupełności pokazują przeznaczenie tej budowy. Bogactwo okazów, rozmieszczonych na dole i na górze, systematyczność i smak w ich ułożeniu czynią dobre bardzo wrażenie. Wrażenie to każe nam wnosić, że Węgrzy nader starannie i umiejętnie prowadzą gospodarstwo leśne; choćby było inaczej w rzeczywistości, to w każdym razie przeciętny gość wystawowy wywiezie jaknajlepsze mniemanie w tym względzie. Plany urzędzenia lasów i zagajników, modele spławu drzewa, rozmaite zbiory, próbki, wykazy statystyczne i t. p. pokazują, że tu myśl idzie przed grubą empiryą. Na środku wielkiej głównej sali wznosi się rozłożyste drzewo, na gałęziach którego spoczywa ptactwo; w pięknej zaś grocie, urządzonej przy jednej ze ścian, rozmieszczono malowniczo w dużej liczbie wypchane zwierzęta lasów węgierskich. Dalej zgromadzono rozmaite wyroby z drzewa; bardzo się podobały wszystkim gustowne wyroby z huby drzewnej: kapelusze męskie i damskie pantofelki, koszycki i różne drobiazgi galanteryjne. Jako dowód, że nic się tam nie marnuje, niech posłużą komiczne figurki i grupy, wyrabiane z korzeni krzewów, rozmaicie poplątanych. Materiały drzewne surowe lub obrabione rozłożono w wielkich stosach nazwewnątrz pawilonu. Dość także starannie zebrano wyroby bednarskie, w jednym, potwornej wielkości, oksefcie zapijała publiczność piwo przy czterech stolikach.

Niemniej korzystnie niż leśny przedstawia się pawilon produktów rolniczych; uderza on przede wszystkim mnogością, doborem i pięknością okazów. Specjaliści mieliby podobno to i owo do zarzucenia gospodarstwu węgierskiemu, uchodzi to jednak wzroku zwyczajnego widza, który podziwia bogate okazy i wnosi o bujności ziemi węgierskiej. Gospodyniom nader się podobają szafy, zapelnione tuczonym, oskubanym, rozmaitym drobiem. Widzieliśmy tam także dość skromne akwaryum; nie możemy jednak z niego nic wnosić o gospodarstwie rybnym na Węgrzech, któremu jak wiadomo, sprzyjają warunki miejscowe. Całkiem inaczej reprezentował hodowlę ryb p. Gir-dwojń na naszej wystawie.

Na placu Wystawy Wiedeńskiej 1873 była osobna ulica — wiejska, przy niej mieściły się domy i mieszkańcy i sprzęt cały rozmaitych narodowości, nie brakło tam i chaty galicyjskiej, słomą krytej; na placu wystawy pesz-

teńskiej mieści się jeden tylko domek w podobny sposób urządzone, przyciśnięty do wschodniego parkanu. To domek Szeklerów, z całą dokładnością etnograficzną urządzonej: jedna izba przedstawia mieszkanie, w którym niczego, nawet geranii, nie braknie; druga mieści w sobie wyroby tego plemienia węgierskiego. Domek ten wystawiło towarzystwo gospodarstwa i oświaty Szeklerów, kosztem 2,000 guldenów. Nie na tem jednak koniec: i inne właściwości etnograficzne Transilwanii uwzględnione zostały w inny tylko sposób, niż na wystawie wiedeńskiej. Etnograf znajdzie bogaty materiał do badania w pawilonie przemysłu domowego (haziipar-csarnok). Skromny ten, ale wdzięczny budynek ma pośrodku 20 przedziałów, z których każdy można uważać za osobną wystawę innej okolicy lub narodowości. Znajdujemy tu do złudzenia naśladowane wnętrza chat we wszelkich ich przynależnościach, zajęte przez figury, przedstawiające rodziny Madziarów, Serbów, Bułgarów, Sasów, Rumunów, Niemców, Słowaków i innych; nader interesujące są chaty niektórych komitatów np. Bikiesz-Czanadzkiego, a zwłaszcza Borszodzkiego. Szerokie kurrytarze pomiędzy podwójnym szeregiem tych chat, w jedną i drugą stronę zwrotnych, a ścianami budynku zajmują nader obficie nagromadzone wyroby włóściańskie; ze sztuką tapicerską rozwieszono tu wzorzyste tkaniny, kobierce, chusty. Przemysł domowy nie ogranicza się na wyrobach ludowych; to też znajduje tu się jeszcze bardzo wiele wyrobów ręcznych domowych, z nadzwyczajną pracowitością i smakiem wyrobionych przeważnie przez kobiety i wystawionych, bądź pojedynczo, bądź zbiorowo przez różne stowarzyszenia pracy kobiet. W tymże pawilonie pomieszczono XXX grupę przemysłowo-wychowawczą, zawierającą zbiory muzealne i wyroby różnych szkół profesjonalnych.

Węgrzy nie zrobili tak, jak zrobiła Austria, Ameryka, Szwecja. Hiszpania wystawiwszy na placu wystawy wiedeńskiej szkoły wzorowe; nie pokazali oni takiej szkoły, ani nawet w dziale szkolnym nie postarali się o przedstawienie metody i środków nauczania. Obszerny pawilon szkolny (tanszer-épület) pomieścił w sobie przede wszystkim roboty i wyroby szkolne, a więc: pismo, rysunki, mapy, robotki kobiece i znaczną ilość ręcznych wyrobów z drzewa. Wiele szkół przedstawiło w próbkach, w tekach ułożonych, systematyczny i całkowity kurs robót kobiecych. Przede wszystkim tedy zaznaczono kierunek praktyczny, który nawet i w szkole elementarnej już się wydatnił przez zaprowadzenie w niej pracy ręcznej, co, jak wiadomo, obecnie jest na porządku dziennym w całej prawie Europie. Wobec tak zrozumianej wystawy szkolnej mniej już uwzględniono pomoce naukowe; niezbyt licznie okazano zbiory muzealne szkolne, a mniej jeszcze przyrządy i narzędzia, ułatwiające naukę, wystawione bądź przez wynalazców, bądź przez firmy producentów. Godzi się zwrócić wszelako uwagę specjalistów na ławki dla szyjących, sporządzone z uwzględnieniem warunków higienicznych. Przy tak bogato nagromadzonych pracach uczniów i uczennic skromnie przedstawiły się wyroby ociemniałych, a jeszcze skromniej — głuchoniemych. Wspomnieć tu musimy o dwóch rzeczach, których nie zauważyliśmy na wystawie wiedeńskiej: pokazano deskę z alfabetem, nabijanym gwoździkami o ostrych główkach, służącym przy początkowej nauce czytania, pokazano następnie kilka map również dla ociemniałych. Na desce dobrze wyheblowanej, położono zwyczajną mapę, nabijając granice polityczne kraju szeregiem jednakowych gwoździków; góry oznaczono innymi gwoździkami, wodę innymi, miasta innymi, koleje żelazne zaś drucikami. Mapa taka da się łatwo przygotować i będzie trwałą i praktyczną w użyciu. Wystawa rzeczy szkolnych nie ogranicza się na tym jednym pawilonie: widzieliśmy je w pawilonie stolicy i w pawilonie Kroacyi i Sławonii; związek także ze szkołą mają niektóre rzeczy pomieszczone w pawilonie gimnastycznym tudzież higienicznym; w tym ostatnim pokazano przyrządy i sposoby ich użycia przy zбочeniach kości.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawska Wystawa Ogrodnicza, miała mniej znaczną liczbę wystawczyń, niż-by to sobie życzyć i spodziewać się było można. Nagrody przyznano dwunastu, a z tych otrzymały: hr. A. Potocka wielki medal złoty, za dobór roślin ze szklarni zimowej, wielki medal srebrny za dobór roślin cieplarnianych; p. Pulcherya Sarnowska z Nowego Sadu wielki medal srebrny za dobór owoców, drugi medal srebrny za rośliny warzywne i użytkowe, medal brązowy za owoce odmian dobrych, z dołączeniem ich nazw botanicznych; p. Joanna Wertheimowa z willi Marynin list pochwalny za piękny kosz róż w kilkunastu odmianach, z dodaniem ich nazw; drugi list pochwalny za palmy, sagowce i pandany, trzeci za szkółkę drzew owocowych w Maryninie; p. Grzybowska medal srebrny za wyhodowaną w pokoju roślinę „curculigo.” p. Florentyna Alexandrowiczowa za piękne krzaki róży chińskiej, mające po lat 27 i wyhodowane także w pokoju; p. Lucyna Ówierciakiewiczowa za konserwy owocowe i warzywne wielki medal srebrny; p. Wanda Makowska medal brązowy za malowanie owoców z natury; pp. Adela Bar-detówna, Bronisława Poświckowa (Z lasu i z pola) Bronisława Malinowska i Józefa Milewska za także malowanie kwiatów i ziół listy pochwalne; p. Jasińska list pochwalny za żardynierkę.

Żadnej wystawczyni nie znalazły sobie ziół lekarskich, a jednak nie brakowało wskazówek w tym kierunku, zwłaszcza czytelniczkom naszego pisma, dla których użytku Dr. Plaskowski podał w seryi artykułów, obejmujących cały rok czasu, sposoby uprawy, zbierania, oraz konserwowania takich. Ceny apteczne, objaśniające producentki co do wartości handlowej ziół, dodane zostały z myślą, aby hodowanie ogrodowych, a umiejętnie zbieranie dzikich ziół lekarskich wytworzyło kobiecie nowe źródło dochodu. Prócz osobistej korzyści każdej z hodowczyń byłaby tu korzyść ogólna, bo zostawałyby w kraju pieniądze, i znaczny, za takie zioła lekarskie, które się u nas rodzić mogą i rodzą, a które jednak są z zagranicy, z Niemiec, sprowadzane. Sprowadzamy całe wagony rumianku, szałwii, mięty, a gdy nasze zboże kupca nie znajduje, bieda zagłada do dworów i chat naszych. Ze konkurencji w tym kierunku jeszcze nie potrzebują lękać się u nas na miejscu kobiety, dowodzi fakt, iż zioła lekarskie wystawiła tylko jedna osoba: aptekarz Iwański, hodujący je we własnym ogrodzie.

Między wystawcami nasion znajduje się jedna tylko kobieta, p. Xawera Jezierska z Sarnika. Nagrody w tym dziale nie zostały jeszcze przyznane, ponieważ wypróbowanie ich rzeczywistej wartości wymaga dłuższego czasu.

— Po zamknięciu wystawy miała miejsce konferencja ogrodnicza, na której powzięto zamiar zawiązania spółki, mającej na celu rozwinięcie naszego owocowego handlu przez zakupywanie po wsiach i dostawianie na rynki Warszawy, oraz miast innych owoców, które inaczej nie znalazłyby na miejscu odpowiednio korzystnego zbytu. Na członków tej pożytecznej spółki zapisało się zaraz na miejscu osób dziewięć, a między nimi kobieta, p. Klementyna Maculewicz. Skoro tylko spółka liczyć będzie 50 uczestników, Towarzystwo Ogrodnicze zwoła swoje komisyjną owocową dla wypracowania ustawy, według której rozwijałaby się działalność spółki. Towarzystwo rozeszło już do członków swoich okólnik, wzywający do popierania pożytecznego przedsięwzięcia. Przykład p. Maculewicz powinien zachęcić kobiety, bo ogrodnictwo jest jedną z najważniejszych gałęzi pracy kobiecej na wsi.

— Przełożona Sióstr Miłosierdzia w Marsylii, siostra od S-go Cypryana, ostatnia z kobiet, która we Francji otrzymała krzyż Legii Honorowej, jest dziesiątą siostrą miłosierdzia, ozdobioną tą oznaką najwyższego we Francji zaszczytu, nie-

łatwo udzielanego. W tym roku właśnie czyniono w pewnych kołach daremnie usiłowania, aby krzyż Legii Honorowej przyznano Maryi Laurent, stojącej na czele zakładu dobroczynnego „Orphelinat des Arts“. Francja udziela tego zaszczytu tylko za szlachetne czyny gorącego patriotyzmu, lub za ofiarę życia, poświęcającego się dla innych; przytem, choć tolerancja pod względem obyczajów jest tu większą, niż gdzieindziej, przy udzielaniu tego znaku, który powinien zdobić tylko piersi ludzi szlachetnych, kobieta otrzymująca go musi być w życiu prywatnym czystą jak Iza i bez żadnej skazy na imieniu. Dla tego też ze sztukmistrzyń francuzkich posiada go tylko jedna Róża Bonheur.

— Juliette Adam, redaktorka „La Nouvelle Revue“, mimo wielu drobnych, z próżności wypływających śmieszności, mimo książek pisanych bez talentu, i sztucznej poetyczności, posiada wielką, okupującą to cnotę, jest gorącą patriotką: całym sercem kocha Francją, całym sercem nienawidzi Niemców. To też na uczcie, dawanej w Vincennes przez *Lige Patriotyczną* z powodu popisu w strzelaniu z karabinów, dała jej przy stole miejsce honorowe po prawicy generała Gervais, i wypito najpierw jej zdrowie, które wznosił poeta Déroulède, ofiarując jej przytem przepyszny trójkolorowy bukiet. Odpowiedziała na i pochlebne dla jej patriotycznych uczuć przemówienie, że jako Francuzka taką być powinna, bo pochodzi od tego plemienia Gallów, których kobiety towarzyszyły mężom w boju, siedząc z dziećmi na wozach ciągniętych przez woły. Niejednokrotnie zadawały one sobie i dzieciom śmierć w razie przegranej; aby się nie dostać w niewolę wrogom, wieszały je i siebie na rogach owych wołów; niejednokrotnie, gdy woły te zabrano, ciągnęły w ich miejsce wozy, aby uwozić na nich rannych lub poległych wojowników swego narodu, których trupa nawet nie chciały opuścić. Mężowie galijscy szanowali też kobiety swoje, które były zawsze wolne i równe im w dostojństwie i gdy czyste kapłanki złotem sierpem ścinały z dębów święte ziele jemiolo, matki rozrzucały w piersiach synów świętszy jeszcze ogień miłości swej ziemi.

— Wice-królowa Irlandyi, hrabina Carnarvon, uczy się po irlandzku, aby móż się zbliżyć do kobiet wiejskich i rybaczek, bo te nie chcą mówić z nią poangielsku, udając, że nie rozumieją.

— Indyjska pani z pokolenia Mahratta, Anandabai Dżoszy, o której pisaliśmy, że chcąc służyć kobietom swego narodu, którym religijny przepis zakazuje leczenie się przez mężczyznę, pojechała do Ameryki kształcić się na lekarza: studiowała medycynę przez dwa lata w Vassar College i złożywszy odpowiedni examini, wraca do swego kraju, ze stopniem doktora medycyny. Anandabai Dżoszy należy do partii tych Indian, którzy nie odrzucając cywilizacji europejskiej, chcą ją przeciw wcielić w formy narodowych obyczajów indyjskich. Ztąd nosi ona zawsze ubiór indyjski, który jest piękny, przyzwoity i malowniczo kroju.

— Zmarła w Szwajcaryi niemłoda już, nigdy niezamężna służąca, Anna Deliker, znana z wielkiej oszczędności i odmawiania sobie potrzeb niemal koniecznych; przeciw znaleziono po jej śmierci 2,300 franków, które zapisała testamentem, prawnie sporządzonym, Radzie Miejskiej swego rodzinnego miasta Brugg na cel corocznego wsparcia jakiejś chorej, ubogiej sługi procent od tej sumki.

— W Antwerpii przy Rue de la Charue, inaczej: Ploegstraat, N 45, znajduje się Dom Schronienia dla uczciwych dziewcząt i kobiet wszelkich stanów i narodowości, gdzie za okazaniem papierów, dających pewne wiadomości co do ich osoby, przyjęte zostają na stół i pomieszkanie za bardzo pomiernem wynagrodzeniem. Dom daje samotnym opiekę i stara się znaleźć im odpowiednie ich kształceniu zajęcie; o przyjęcie tam należy się zgłosić do proboszcza Seitz, przy ulicy: Lange Winkelstraat N 5.

— Cesarzowa Niemiecka obdarowała złotym krzyżem Józefę Kula, Szlązaczkę, która przez lat czterdzieści służyła w Głewicach wiernie i uczciwie w jednej rodzinie za dziewczynę do wszystkich.

Józefa Kula ma obecnie blisko lat sześćdziesiąt, ale jest jeszcze zupełnie zdrowa i czerstwa, nie wygląda na swój wiek i nie zdaje się być wcale spracowaną.

— W Nowym Orleanie, w tej niegdyś stolicy handlu niewolnikami i ucisku ludności kolorowej, odbył się z wielkimi publicznymi honorami pogrzeb kobiety krwi mieszanej: kwadrettonki. Józefa Charles, córka białego i mulatki, została wychowaną przez ojca w wygodach i pieśczętach, otrzymała wykształcenie najwyższe, jakie w owym czasie dawano kobiecie, odziedziczyła wielki majątek i była tak piękną, ślady murzyńskiego pochodzenia dawały się tak mało dostrzegać, że mogła być, wyjechawszy z miesie rodzinnych, iść jak najświetniej za mąż i stworzyć sobie istnienie najzupełniej szczęśliwe. Ale był węzeł, przykuwający ją do miejsca—miłość dla biednego tłumu swoich niefortunnych, pogardzanych współbraci i oto złączywszy się z dwiema siostrami w niedoli, z dwiema także córkami białych, urodzonymi z matek kolorowych: z Henryetą de Lisle i Julią Gaudet, założyła najpierw skrytą szkołę dla dzieci murzyńskich i mulackich, co nie było rzeczą bezpieczną wtedy, gdy wszelkie usiłowanie kształcenia, podnoszenia ras kolorowych, uważane było przez właścicieli niewolników za zbrodnię stanu. Nauczyć czytać i pisać Murzyna było przestępstwem, ściganem surowo przez prawo; przecież młoda wówczas Józefa Charles dopuszczała się tej winy, zbierając drugostronnie i wychowując już w sposób jawny sieroty murzyńskie i mulackie. Przytem, silnie pobożna, wstąpiła do zakonu Karmelitek, mając lat dwadzieścia kilka, i wtedy pozyskawszy sobie poparcie duchowieństwa katolickiego, mogła już prowadzić czas swoje owiele śmielej i na szerszą skalę. Czas też płynął, czyniąc szczyrby w okrutnych przesądach, aż po wojnie Południa z Północą, po zwycięstwie Północy już nic nie mogło przeszkadzać jej szlachetnym pragnieniom podniesienia biednego, ucisnionego tłumu swych współbraci.

Oprócz szkółek wzniesionych w Nowym Orleanie zakładała je po miastach innych, gdzie tylko ludność kolorowa była liczniejszą; dalej wzniosła w Nowym Orleanie Dom Sierot i Dom Przytulku dla Starców murzyńskiego lub mulackiego pochodzenia, aż nakoniec, otrzymawszy od przełożonych swego zakonu swobodę działania, założyła dla kobiet kolorowych zgromadzenie jako-by Sióstr Miłosierdzia — „Zgromadzenie Sióstr Świętej Rodziny“ i zostawszy przełożoną, rządziła trzodką swoją z miłością i poświęceniem najwyższem. Na sześć lat przed śmiercią utraciła wzrok, ociemniała zupełnie, przecież oddawała się jeszcze z gorącym zamiłowaniem dobroczynnej swej pracy—oddawała się jej do śmierci. Umarła mając lat 89 i nosząc do końca na delikatnem klasycychnych niemal rysów obliczu ślady wielkiej piękności.

Niesiono ją do grobu na rękach, ludność kolorowa zbiegła się bardzo licznie z okolic nawet odległych, a całe miasto oddawało jej zwłokom takie honory pośmiertne, jakie tylko spotykają w Ameryce najwyżej położonych, najzasłuższych, ludzi.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Nowe spostrzeżenia na Marsie. — Gaz błotny skroplony i jego zastosowania. — Telefon wymierzający temperaturę z odległości. — Użyteczność jego w sygnalowaniu wynikłego pożaru. — Przyrząd Tommasi'ego. — Prom parowy w Melbourne. — Chlorozon. — Analiza wina czerwonego za pomocą elektryczności. — Badania Ora Ballay dotyczące wielkiej rzeki afrykańskiej Ogowe — Szczepienie zarazka febry żółtej. — Nowy proces niklowania cynku. — Wydzielanie z rudy drogiej metali za pośrednictwem elektryczności. — Żywe pochodnie.

(Dokończenie).

Jeżeli traktować będziemy nazimno chlorek wapnu kwasem chlorowodornym i gdy chlor wywią-

zany wprowadzimy do roztworu sody kaustycznej, gaz ten zostanie przez roztwór pochłonięty i wytworzy się płyn, którego skład chemiczny dotąd jeszcze nie jest dokładnie znany. Płyn ten posiada własności odbarwiającej energicznej, a odkryty został przez p. Dienheim-Braszowskiego w Paryżu, który mu nadał nazw *chlorozonu*.

Związek ten wielce się różni od podchloranu sody, tak barwą i wonią, jak i własnością bielenia tkanin, którą posiada w daleko silniejszym stopniu. Jest to płyn żółty ciężkości gatunkowej 1,27, woni charakterystycznej. Jeżeli jest zbyt stężonym, należy go przechowywać w naczyniach szklanych, czarnych w miejscu bezpiecznym i chłodnym; wszelako ulega on łatwo rozkładowi nawet przy zachowaniu tych ostrożności, przytem wywija się tlen. Słaby wodny roztwór chlorozonu przechowywać się daje nierównie dłużej; światło słoneczne powiększa jego siłę odbarwiająca, jak to ma miejsce z kwasami i bromem. Roztwór, jakiego używają zwykle, ma ciężkość gatunkową od 1,03 do 1,07.

Kadzie, w których biela tkaniny za pomocą chlorozonu powinny być powleczone nazewnątr smołą lub żywicą. Drzewo osłabia działanie płynu, gdyż ten i na nie silnie wpływa; manipulacja zaś odbywana w naczyniach kamiennych, może wytworzyć plamy rdzawe. Przed bieleniem potrzeba zmoczyć tkaninę w kąpeli alkalicznej najpierw na zimno, a następnie w temperaturze dochodzącej 59 stopni ciepła termometru Celsiusza, poczem, jak zwykle, tkaninę wyżyma się, zakwasza i płócze.

Chlorozon zastąpi niezaprzeczenie dotąd używany chlorek wapnu w bieleniu bawełny, lnu i konopi, lecz nieodpowiednim będzie dla wełny i jedwabiu. Nadto związek ten jest energicznym odwonnikiem.

Zwracając prąd elektryczny, nawet słaby, z dwóch elementów Bunsena wytworzony, na pięć lub dziesięć centymetrów sześciennych wina czerwonego naturalnego, roztworzonego w sześć razy większej objętości wody, zaostrzonej kilku kroplami kwasu siarczanego stężonego, otrzymujemy wkrótce osad w postaci blaszek czerwonych, gromadzący się na biegunie dodatnim.

Blaszki te mogą być dostrzeżone gołym okiem, lecz owiele charakterystyczniej przedstawiają się pod mikroskopem; reprezentują one wówczas rodzaj tkanki. Ta tem jest słabszą i mniej ciągłą, im elektryzacja była krótszą; wszelako po upływie 12 lub 20 godzin tkanka owa staje się silną i spójną. W czasie elektryzacji daje się uczuć woń aldehydu, a płyn czerwony zmienia się najpierw w żółty, a następnie przechodzi w bezbarwność.

Elektryzacją tę odbywał Konrad Krohn i otrzymał te same rezultaty z najrozmaitszymi winami naturalnymi, to jest niefalszowanymi.

Dla przekonania się, że zaobserwowane zjawisko w istocie pochodzi od materii barwnikowej i garbnikowej wina, odbywał on doświadczenia z 25 centymetrami sześciennymi rozmaitych win białych, roztworzonych wodą zaostrzoną kwasem siarczanym. Wina te traciły całkiem swe słabe zabarwienie, lecz nie dawały żadnego osadu podobnego temu, jaki Krohn pozyskiwał z win czerwonych w tychże warunkach. Podobne zjawisko zachodzi przy odbarwianiu węglem zwierzęcym wina czerwonego, przed poddaniem go elektryzacji.

Krohn starał się odosobnić materię barwnikową wina, aby na nią samą wyłącznie oddziaływała elektryczność. W tym celu 100 centymetrów sześciennych wina Saint-Estephe z 1878 r. traktował zasadowym octanem ołowiu, następnie mył osad, barwy szaro-błękitnawej, roztwarzał go w wodzie czystej i rozkładał wodorem siarkowym. Produkt nierozpuszczalny, przemyty wodą i wysuszony, traktowany był słabym alkoholem z dodatkiem kwasu winnego. Płyn oswobodzony od siarku ołowiu przez filtrowanie był barwy ciemno-czerwonej. Po elektryzacji otrzymano na biegunie dodatnim tenesam osad blaszkowaty jasno-czerwony, jaki pozyskano z poprzednich doświadczeń z winem.

Podając takim samemu processowi materye barwnikowe zwykle używane do sztucznego zabarwienia wina, jako to: czerwoną anilinę, koszenilę, brazylię, sok z borówki (*Vaccinium myrtillus*), sok wiśniowy i t. p., po roztworzeniu tych materyi w winie białem odbarwiały się one, nie dając żadnego stałego osadu.

Z rezultatów tych Krohn słusznie wnosi, że *elektryzacja wina czerwonego w połączeniu z analizą mikroskopową osadu zeh otrzymywanego stanowi najpewniejszy środek rozpoznania, czy zabarwienie wina czerwonego jest naturalnem.* Trudniejszym jest rozpoznanie jakości materyi barwnikowej; wszelako jeżeli wino mocno zabarwione daje tylko słaby osad blaszkowaty, niema prawie żadnej wątpliwości, że zabarwienie nie pochodzi z enoliny.

Przyrząd potrzebny do tego rodzaju analizy jest wielce prostym; wystarczają tu dwa elementa Bunsena, których bieguny połączone są z blaszkami platynowymi, zanurzonemi w płynie, który ma być badany. Można zresztą kilkanaście prób wina elektryzować jednocześnie, co wielce upraszcza manipulacyę.

Geografowie nie zgadzają się dotąd co do geograficznej istoty wielkiej rzeki afrykańskiej *Ogue*; jedni poczytywali ją za odnogę Kongo, drudzy upatrywali jej źródło w Górach Kryształowych, inni wreszcie mniemali, że wypływa ona z jeziora Wadday.

Doktor Ballay, wróciwszy do Paryża po trzechletniej podróży po Afryce, przedstawił Towarzystwu Geograficznemu rezultaty swych poszukiwań, i rzecz można, że rozwiązał kwestyę powyższą.

Sprawozdanie z tej podróży pomieścił dziennik *Wiedza i natura*; znajdujemy w nim artykuł p. Zabouret'a opisujący szczegółowo badania dotyczące pochodzenia tej rzeki.

Doktor Ballay, współpracownik i przyjaciel Brazzy, oddawna odbywał mozolne studia w Zachodniej Afryce.

Dwudziestego ósmego Marca 1878 roku Ballay dotarł do wodospadu Pubara, w bliskości którego wykrył źródła tej rzeki, a 25 Lipca r. z. sekretarz Towarzystwa Geograficznego Paryżkiego p. Maunoir obwieścił, że pochodzenie rzeki *Ogue* (Ogowe) już nie jest tajemnicą.

W drugiej wyprawie do Afryki Ballay zwiedził płaskowzgórze oddzielające *Ogue* od *Alima*. Przebiegł on tę ziemię we wszystkich kierunkach, a 4 Czerwca 1883 roku pierwszy raz statek francuzki pruł fale rzeki dopływowej Kongo. Ballay korzystając z czasu, odwiedził króla Makoko, wiernego sprzymierzeńca Francuzów, któremu doniósł o spodziewanem przybyciu Brazzy.

Konwój Ballay'a, złożony z Bateków, przeniósł jego pakunki i szalupę z *Osika* na rzekę *Alima*, będącej dopływową rzeki *Likila*. Doktor Ballay opisał między innymi osobliwszą chorobę krajowców, nieznaną całkiem Europejczykom, której ulegają Murzyni z pbrzeży *Ogue*. Osoby dotknięte tą chorobą, jeżeli korzystały z małej ilości pożywienia, zapadają w sen trwający kilka miesięcy, to jest, do chwili, w której śmierć wskutek wycieńczenia następuje.

Posiłkując się metodą słynnego Pasteur'a, Domingos, professor w Rio Janeiro, wykrył środek zabezpieczający od febrы żółtej, choroby bez przerwy niszczącej ludność w Brazylii. Uczony ten przeszło lat dwadzieścia pracował nad roz-

wiązaniem swego zadania. W ostatnich czasach współpracownikiem jego był młody, biegły chemik p. Chauveau, który przybył do Brazylii ze wszystkimi przyrządami potrzebnymi do tego rodzaju poszukiwań. P. Chauveau kształcił się w laboratorium Pasteur'a.

Mikrob febrы żółtej został dokładnie poznany; szczepienie zarazka ochronnego królikom powiodło się najzupełniej.

Domingos i trzej jego uczniowie zaszczepili sobie zarazek z równie pomyslnym skutkiem.

Cesarz Brazylijski osobiście zwiedził pracownię odważnych uczonych i mógł sprawdzić rzeczywistość tego doniosłego odkrycia. Z rozkazu jego zaszczepiono zarazek febrы żółtej 286 ludziom, po większej części robotnikom. Z liczby tej ani jeden nie uległ tej straszliwej chorobie, gdy, przeciwnie, inni, nieszczepieni, ich towarzysze, padali jej ofiarą pomimo energicznej pomocy lekarskiej. Dowódcy wielu statków stojących w przystani wskutek tak zadawalających rezultatów, nakazali szczepienie swym załogom z równie pomyslnym skutkiem.

Domingos uzyskał od rządu patent wynalazku; liczba szczepiących się wzrasta, gdyż febra zabójcza grassuje tam od niepamiętnych czasów i dotąd nie było na nią lekarstwa. Winniśmy też przytoczyć tu, że na 25 lekarzy wysłanych przed kilku laty do Senegalu, dla zapobieżenia szerzeniu się tej choroby, 23 jej uległo. Odkrycie też Domingosa jest nieoszacowaną zdobyczą naukową — i profilaktyczną.

Niklowanie przedmiotów cynkowych za pomocą elektryczności przedstawiało dotąd pewne trudności, jakich nie napotykamy przy manipulacyi z miedzią, bronzem lub żelazem; obecnie nowy proces p. Meidingera owiele upraszcza operacyę. Dość jest, jak podaje dziennik *Mémorial Industriel*, przed pomieszczeniem cynku w kąpeli niklowej zamalgamować go, lekko zanurzając w roztworze chlorku lub azotanie rtęci, zaostrzonym kwasem siarczanym lub kwasem chlorowodornym. Wartość amalgamacji zależną jest, naturalnie, od czasu, przez jaki cynk pozostaje w kąpeli niklowej, a czas ten oznaczyć może tylko doświadczenie. Nie należy jednak zbyt długo pozostawiać cynku w roztworze, gdyż wtedy metal staje się kruchym. Gdy cynk nie jest amalgamowanym, zwykle używanym bywa silny prąd elektryczny dla osadzenia się niklu w dobrych warunkach. Proces Meidingera wszelako daje doskonałe rezultaty przy użyciu słabego prądu.

Ciekawe doświadczenia odbył p. Atkins w Anglii w celu oddzielenia za pomocą elektryczności drogich metalów zawartych w rudzie. Traktowany przez niego aliaz składał się ze złota, srebra i miedzi. Zanurzył on go w kwasie siarczanym rozcieńczonym, pomieszczonym w naczyniu porowatym, nurzającym się z kolei w roztworze siarczanu miedzi. Aliaz ten połączonym był z biegunem dodatnim maszyny dynamo-elektrycznej, której biegun ujemny komunikował z elektrodem miedzianym, pomieszczonym w roztworze siarczanu miedzi.

W tych warunkach prąd elektryczny utlenia srebro i miedź aliazu, tworząc siarczany, złoto zaś opada na dno naczynia. Po nasyceniu siarczanów miedzi i srebra płyn z naczynia porowatego przechodzi do innego, w którym dokonywa się strącenie przez miedź w ten sposób, że pozostaje tylko roztwór siarczanu miedzi. Srebro odoso-

bnione, w stanie rozgotowanej kaszy, przetwarza się w metal stały zwykłą drogą.

W Paryżu i w Londynie w roku ubiegłym głowy tancerzek występujących w operze i balecie błyszczały światłem olśniewającym i rozpraszającym się z maleńkich gwiazd elektrycznych wpiętych w ich włosy. Z bawidełkiem tem poznały już nas pisma i zdawało się, że poza granicą sceny gwiazdki owe nie mogą mieć żadnego praktycznego zastosowania. Wszelako inne całkiem było zapatrywanie się na ten przedmiot Amerykanów.

W Nowym Jorku zawiązało się towarzystwo *Electric Lighting Company* z celem dostarczania osobom prywatnym — służącym z głowami iluminowanymi lampą elektryczną, której blask dorównywa światłu pięćdziesięciu lub stu świec stearynowych. Pomysł ten, niepospolicie oryginalny, ma tę korzyść, że w domach mieszczańskich przy jego zastosowaniu unika się podwójnego wydatku, to jest na służbę i na światło, przedstawia zatem znaczną oszczędność. Towarzystwo przyjmuje na siebie obowiązek żywienia i odziewania tych żywych świeczników, które wynajmuje na cały wieczór, a w razie żądania, i na noc.

Se non è vero è ben trovato!

W. Niewiadomski.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

1sza SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki koronek w roku bieżącym rozpoczętym zostanie dnia 15 Września; — zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki od godziny 12 do 1 z południa. Desenie różne, oraz podług wzorów „Bluszczu“ i wszelkie przybory, potrzebne do wyrobu koronek, można nabyć w szkole koronkarstwa przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Z motywów jesiennych, poezya przez Miriam'a. — Fryc i Frycek, nowella, (dalszy ciąg), przez Michała Wołowskiego. — Ostatnie utwory *Jokay'a*, (dalszy ciąg), przez Maryę Ilnicką. — Nowiny paryżki, (dokończenie). — Kartki z wycieczki do Pesztu, (dokończenie), przez Władysława Nowickiego. — Kronika działalności kobiecej. — Dział przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie — Dyspozycyą stołu.

Kołdra ścięciem krzyżowym, szlak szydełkową robotą.

Rycina Nr 8 do 10.

Kołdra składa się z pasów kanwy „cable“, połączonych wszywką szydełkowej roboty; każdy pas ozdobiony haftem, wzór którego podaje ryc. 8, brzegi zaś zakończone pasowemi szlaczkami. W około kołdra oszyta szlakiem, którego część podana na ryc. 9, a który robi się w poprzek z dość grubych kremowych nici. Kolej 1: * 5 o. powietrznych, 1 pikot do góry (4 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w pierwsze z nich) 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, od * 3 razy powtórzyć, potem 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. oczek drugiego powtórzenia, 2 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 3 pow. ocz., na listek 8 ocz. pow., a po nich powracając pierwsze oczko opuścić, 1 ścis. ocz., 4 słupki, 1 ścis. ocz. w następne 6 ocz., 1 ścis. ocz. łańcuszkowe w pierwsze z 8 pow. ocz., potem z drugiej strony listka 6 ocz. jak poprzednie na końcu 1 ocz. w ocz. opuszczone, 1 ścis. o. w środkowe z następnych 5 pow. ocz., 2 ocz. pow., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 5 ocz. pow., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z pierwszych 5 pow. ocz. Kolej 2: 12 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 2 pow. ocz., * 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz.; od * 1 raz powtórzyć tak,



Nr 1. Okrycie krótkie z wełnianego materiału. Plecy. (Do ryc. 2) Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 33—40.

Nr 2. Okrycie krótkie z wełnianego materiału. Przód. (Do ryc. 1).



Nr 3. Suknia z kaszmiru i „brocat-de-laine“. Opis odwr. str. tabl.

Nr 4. Suknia z „satin-merveilleux“ i koronki. Opis odwr. str. tabl.

Nr 5. Suknia z „mousseline-desoie“ i koronki. Opis odwr. str. tabl.

Nr 6. Suknia z wełnianego materiału i aksamitu. Opis odwr. str. tabl.

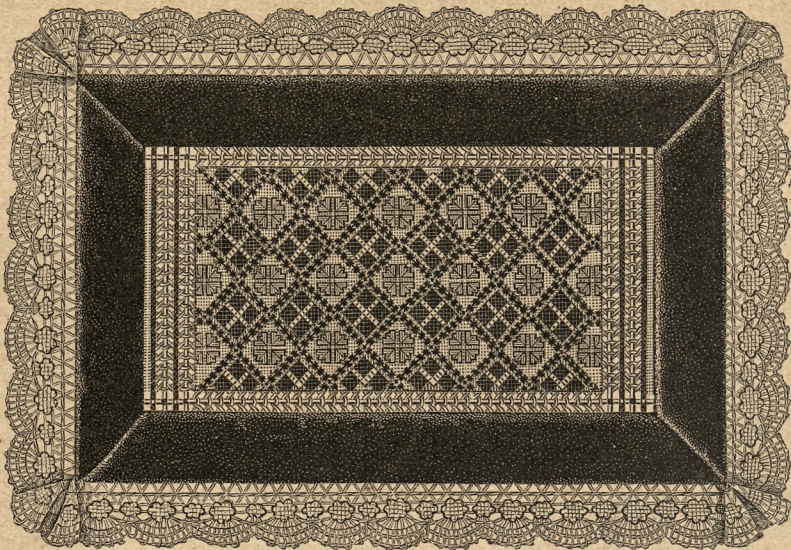
Nr 7. Suknia z bengaliny gładkiej i w deseń. Opis odwr. str. tabl.

aby ścis. ocz. zrobione było w ocz. następujące po listku, potem 1 ścisłe oczko w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. oczka, 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 pow. ocz.

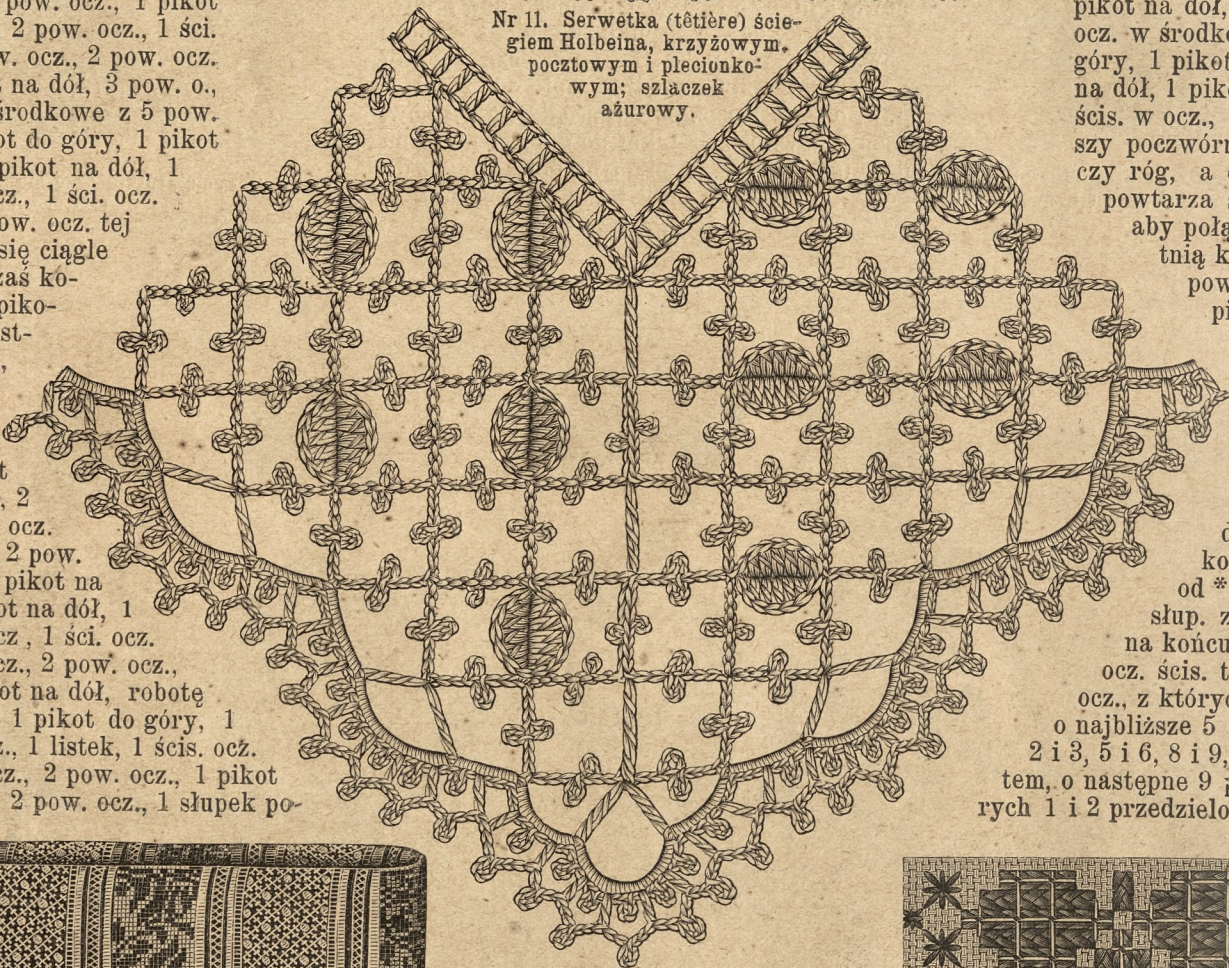
1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 pow. ocz., 1 listek, 1 ścis. o. w środkowe z 5 następných pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 pow. ocz., 1 listek, 1 ocz. ścis. w trzeciej z pierwszych 12 oczek tej kolei. Kolej 3: 12 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 2 o. pow., 1 ocz. ścis. w ocz. następujące po listku, * 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścisłe oczko w środkowe z 5 pow. ocz., od * powtórzyć raz jeden tak, aby oczko ścisłe zrobione było w ocz. następnym za listkiem, potem 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 pow. o., 1 listek, 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z 12 pierwszych pow. ocz. tej kolei. Dalej powtarza się ciągle 2 i 3 kolej. na rogach zaś kolei 3 robi się tylko do pikota następującego po listku, a potem 2 pow. ocz., 1 poczwórny słupek w 3 z 12 pierwszych oczek, 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w ocz. następujące po listku, 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 pow. ocz., 1 listek, 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 2 pow. ocz., 1 słupek po-



Nr 8. Wzór haftu do ryc. 10 płaskim ścięciem.



Nr 11. Serwetka (têtière) ścięciem Holbeina, krzyżowym, poczwórnym i plecionkowym; szlaczek ażurowy.



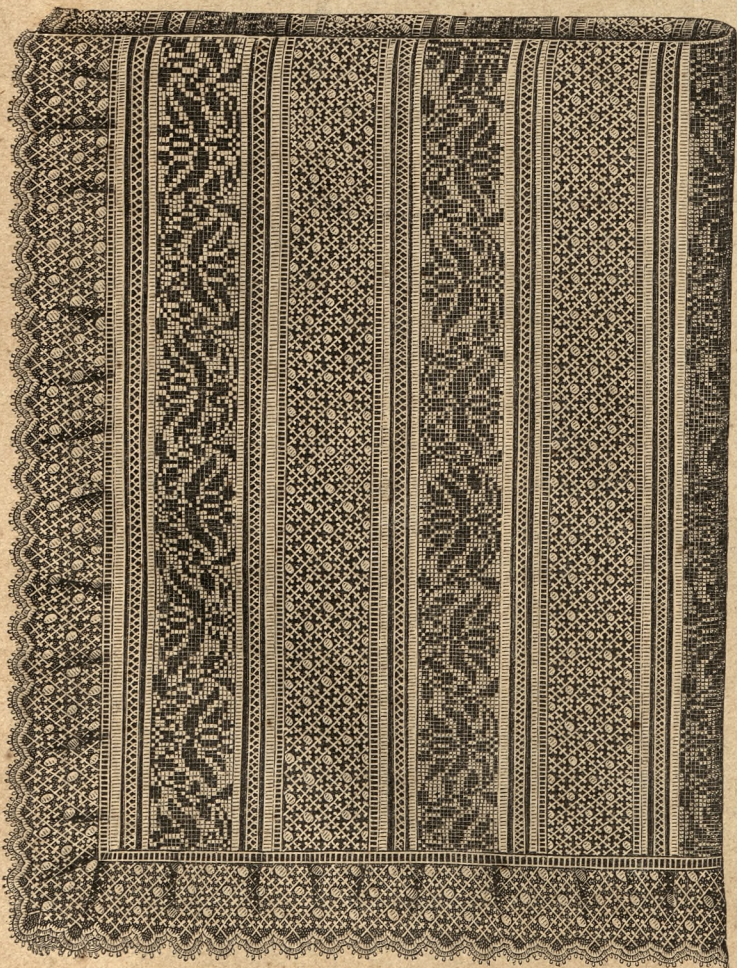
Nr 9. Część szlaku do ryc. 10 robotą szydełkową.

ocz. w środkowe z 5 pow. o., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 o. pow., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w o. następujące po listku, 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 2 pow. oczka, 1 poczwórny słupek w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścisłe ocz. w oczko, w które zrobiony był ostatni poczwórny słupek, 5 ścis. ocz. w oczka znajdujące się pomiędzy dwoma ostatnimi słupkami, 1 o. ścis. w przedostatni słupek, 2 o. pow., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, robotę odwrócić, 5 pow. o., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robo-

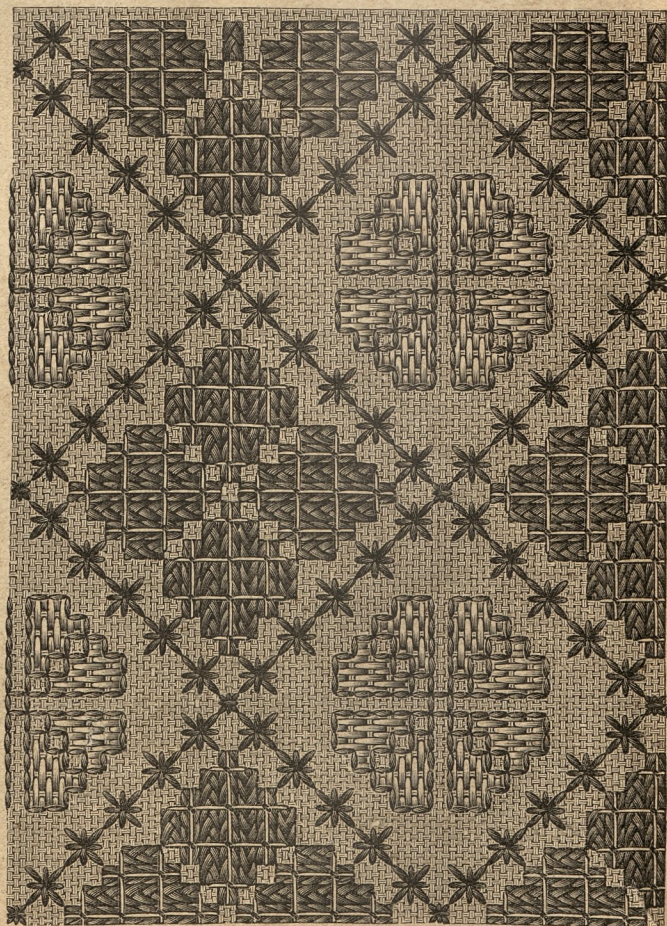
otę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 ocz. pow., 1 listek, 1 ocz. ścis. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. o., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow.

ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w to samo oczko, w który był zrobiony poczwórny słupek, 5 ścis. łańc. ocz. w następnym 5 ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w najbliższy poczwórny słupek, 2 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ścis. o. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. o., 1 ścis. ocz. w ocz. następujące po listku, 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 o. pow., 1 listek, 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 3 pow. ocz., 1 listek, 1 ścis. ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., 1 pikot do góry, 1 pikot na dół, 5 pow. ocz., 1 pikot na dół, 1 pikot do góry, 2 pow. ocz., 1 ocz. ścis. w ocz., w które zrobiony był pierwszy poczwórny słupek. Na tem się kończy róg, a dalej aż do następnego rogu powtarza się naprzemiennie 2 i 3 kolej;

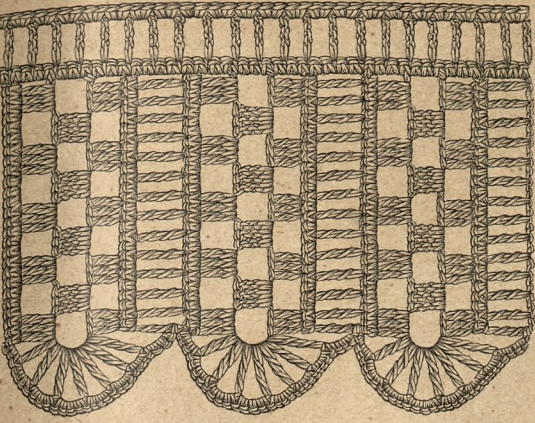
aby połączyć początek szlaku z ostatnią koleją, trzeba w środkowe z 5 o. pow. zaczepiać o odpowiednie o. pierwszej kolei. Po skończeniu zaś szlaku, trzeba brzeg jego objąć jeszcze kilku kolejami. Kolej 1: * 1 ścisłe ocz. w środkowe z 5 pow. ocz., pomiędzy 2 pikotami do góry, 5 o. pow., 2 podw. słupki przedzielone 9 pow. ocz., w środkowe z 5 pow. ocz., 5 pow. ocz. od * powtarzać, (na rogach podw. słup. zaczepiają się o poczwórne), na końcu 1 ocz. ścis. łańc. w pierwsze ocz. ścis. tej kolei. Kolej 2: * 6 ścis. ocz., z których 5 i 6 przedzielone 1 pikot. o najbliższe 5 ocz., 13 ścis. ocz., z których 2 i 3, 5 i 6, 8 i 9, 11 i 12 przedzielone 1 pikotem, o następne 9 pow. ocz., 6 ścis. ocz., z których 1 i 2 przedzielone 1 pikotem, o następne 5



Nr 10. Kółdra ścięciem krzyż., szlak robotą szydeł. (Do ryc. 8 i 9).



Nr 12. Część haftu do r. 11. Wielkość naturalna.



Nr 13. Koronka do bielizny robotą szydełkową.

pow. ocz. od * powtarzać, a na końcu 1 ścis. łań. ocz. w pierwsze ścis. ocz. tej kolei. Na rogach tej i następnej kolei, robi się to samo w odwrotnym porządku. Kolej 3: 3 pow. ocz., * 1 słupek w czwarte ocz., 6 razy naprzemian: 4 pow. ocz., z których środkowe przedzielone pikotem, 1 słup. w trzecie ocz. ścis., 1 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, od * powtarzać, na końcu 1 ścis. ocz. w pierwsze o. tej kolei. Na wewnętrznym brzegu koronki robi się ciągle naprzemian: 1 słup. w najbliższe ocz. powietr., 1 powietr. oczko., 1 ocz. opuścić; w rogu pow. oczek nie robić. Wszystkie pomiędzy pasami koldry robią w tenże sam sposób, co i szlak, tylko szersze, a z obu stron obejmują się koleją słupków, jak wewnętrzny brzeg szlaku. Po zrobieniu wszywek, zeszyć je okrętką z kanwowymi pasami, podszyć koldrę pasową podszewką i otoczyć szlakiem.

Serwetka (têtière) krzyżowym, Holbeina, pocztowym i plecionym ścięciem, oraz szlaczkiem ażurowym.

Rycina Nr 11 i 12.

Na zrobienie serwetki trzeba ukrajać 52 centimetra długi, a 31 centimetra szeroki kawałek płóciennej kanwy, obrębić go w około i zahaftować w odstępach 5 centymetrów od obrębu podług deseni podanego na rycinie 12 różnobarwną filozellą i złotymi nićmi. Najpierw haftować krzyżujące się linie gwiazdek ścięciem pocztowym na sześciu nitkach, ciemno-zielonym jedwabiem, a w miejscu gdzie się linie krzyżują jeden ścieg smyrnński na trzech nitkach wysokości i szerokości. Następnie haftują się kwadraciki ścięciem plecionym, brązowym jedwabiem i pokryte siatką złotych nici, przymocowanych ścięgami jedwabiu; inne zaś rzuciki otoczone oliwkowym jedwabiem, ścięciem Holbeina, a wypełnione długimi ścięgami z różowego jedwabiu. Po wykonaniu haftu, trzeba wyciągnąć w odstępach 3 nitki od tegoż, 18 nitki kanwy, a od przeciwnej strony dwa razy po 18 nitki na ażurowy szlaczek; następnie przeciągnąć przez luźne nitki 1/3 cent. szeroką złotą plecionką, krzyżując po 12 nitkach kanwy i zahaftować 4 pozostawione nitki krzyżkowym ścięciem, jedwabiem koloru palonej cegły, w końcu objąć serwetkę 8 centim. szeroką pluszową plisą koloru palonej cegły, podszyć ciemną satinetką i oszyć przerabianą złotem koronką.

Koronka do bielizny szydełkową robotą.

Rycina Nr 13.

Koronka ta robi się w poprzeg, z bawełny Nr 60, na założeniu z 28 oczek. Kolej 1: Pierwsze ocz. opuścić, potem ciągle: 1 ocz. ścis. w każdej ocz. założenia. Kolej 2: 4 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 podw. słup. w drugie ocz., 1 pow. ocz., (ostatni podw. słup. w ocz. opuszczone). Kolej 3: Ciągłe 2 ścis. ocz. w najbliższe pow. ocz. Kolej 4: 3 pow. ocz., 4 razy naprzemian: 3 słup. w 3 ocz., 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, potem 3 słup. o 3 ocz. następne. Kolej 5: 7 ocz. pow., 4 razy naprzemian: 3 słup. o 3 ocz. najbliższe, 3 pow. ocz., potem 1 słup. w czwarte oczko. Kolej 6 jak 4 a na końcu 2 pow. ocz., 1 podw. sł. o następne ocz., 2 pow. ocz., 5 słup. potrójnych przedzielonych 2 pow. ocz. o następne pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 podw. słup., 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. o ostatni podw. słup. tejże kolei. Kolej 7: 8 razy naprzemian: 4 ścis. ocz. o najbliższe 2 pow.

ocz., potem ciągle: 1 ścis. ocz. w następne oczko. Dalej powtarzać ciągle 2 do 7 kolei, a w każdej 7 kolei zaczepiać ostatnie ścisłe oczko 7 kolei poprzedniego ząbka. Po skończeniu robić u góry koronki 3 rzędy jak 1 do 3 kolei.

Egretki do przybrania kapeluszy.

Rycina Nr 16 — 18.

Rycina Nr 16 przedstawia egretkę z kwiatków, mniejszych i większych liści, wąsików i pęczków piór; liście i kwiatki zrobione z szarych piórek, z dżetowanymi brzeżkami i żyłkami.

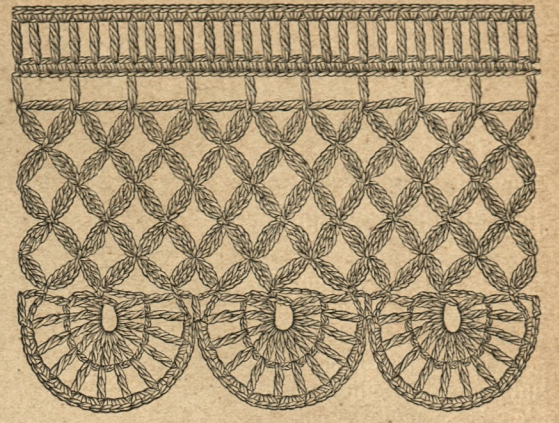
Egretka przedstawiona na rycinie Nr 17, składa się z szarego ptasiego lepka, wysoko sterzących do góry czarnych piórek, nakrapianych stalowym pyłkiem i z pręcików nasadzonych stalowymi perełkami.

Rycina Nr 18 przedstawia egretkę składającą się z jasno-szarych piórek, ozdobionych muszkami ze stalowych perełek, pręcików uwinionych z drutu, małych metalowanych skrzydełek oraz motylka i listków filigranowych ze złotych i stalowych drucików.

Staniczek fałdowany z wełnianej krepy.

Rycina Nr 26

Staniczek ten fałdowany z przodu i z tyłu, kraje się tak, aby na ramionach nie było wcale szwu, z krepy obranego jasnego koloru; z przodu i na plecach wstawiony ciemno-brązowy aksamit, z którego także zrobiony kołnierzyk i mankiety. Staniczek zapięty na haftki, a u dołu przybrany trzema aksamitnymi pliskami, podług ryciny.



Nr 14. Koronka do bielizny szydełkową robotą.

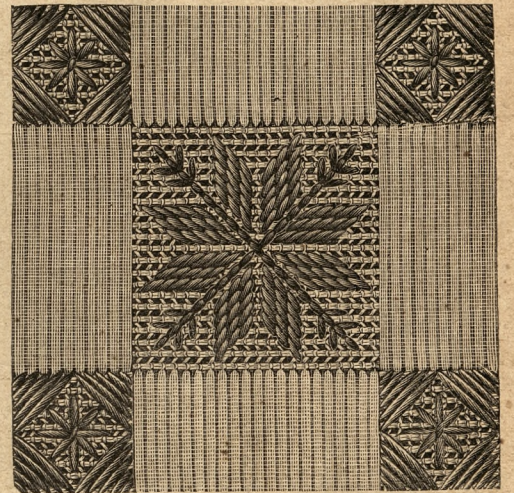
„vetement“ był wypustkowany takimże pluszem, a cała draperya „vetement“ podpięta z prawego boku metalowem spięciem. Całość tego kostiumu była bardzo ładna i pełna dobrego gustu, jak wszystko, co z magazynu pani Meizner wychodzi. Na kaftaniki krótkie i na okrycia zimowe pokazywano nam grubsze materiały, także „bouclé“, ale wyrób bardzo gęsty, miękki, trwałe i praktyczny; wszystkie materje jedwabne w dzisiejszych wyrobach, pokazały się nie możliwe — zostaje więc aksamit i wełna, która w tym deseni bardzo dobrze zastępuje adamaszek.

Okrycia jesienne są to długie paletoty rozmaitych odmian, to z kapturkiem, to z wąskimi rękawami, to z szerokimi; najnowszym jednak paryzkim fasonem, jest paltot zupełnie wcięty z tyłu, ułożony od pasa w głębokie fałdy z przodu dwie małe zaszewki, które jednak nie czynią paltota wciętym, i tylko że przody nie są bufiaste. Od pasa paltot powinien się otwierać na ładnej spódniczce czyli sukni. Owe duże guzy i kłamry zostają już na drugim planie, zastępują je przybranie skromne z aksamitu; kołnier, objęcie re-

PRZEGLĄD MÓD.

Sieczne materiały zimowe francuzkie u p. Heurich. — Fason modnego kostium. — Materiały na kaftany i okrycia. — Fasony okryć. — Przybranie. — Modele paryzkie w Wiedniu. — Przybranie sukien strojnych. — Perełki ołowiane „plomb“.

Materiały nowe na zimowy sezon, są prześliczne, ładniejsze niżeli bywały od wielu lat. Panie Heurich (róg Miodowej i Senatorskiej), rozszerzywszy bardzo swój magazyn, sprowadzają w wielkich partjach materiały francuzkie i angielskie, co nie przeszkadza jednak, że oprócz zagranicznych, mają zawsze na składzie w znacznym doborze wyroby krajowe i z Cesarstwa. Oglądaliśmy właśnie prześliczny asortyment nowych modnych tkanin. Wszystkie te materiały zwane są „bouclé“; tkanina to jest supelkowa, naśladowająca na gładkim tle, niby jedwabny desień wypukły. Niemniej wełna to jest czysta, tylko odrębnym sposobem wyrobiona. Na kostiumy pokazywano nam najprzód w drobny rzucik — supelki we wszystkich kolorach, dalej na gładkim tle, na przykład granatowem, krata w cieniu brązowym „bouclé“, jakby haftowane jedwabiem do cieniu; dalej trochę większe kraty na tle zielonkowym ciemnym, zwanym od likieru „Chartreuse“, krata cieniu żółtawego — mnóstwo odmian i mnóstwo kolorów. Materiał taki używa się tylko na vetement, który dziś jest najmodniejszym fasonem zimowego kostiumu, na spódnice lekko fałdowaną, używa się gładkiego materiału w tymże kolorze, o wiele tańszego — gdyż materiały „bouclé“ supelkowate, są dość drogie i taniej nad 25 rubli sam materiał na taki kostium kosztować nie może. Widzieliśmy już taki kostium zrobiony u pani Meizner (Krakowskie-Przedmieście Nr 83), podług wzoru paryzkiego. Spódnica gładka granatowo-zielonkowego koloru, ułożona w fałdy w jedną stronę, niby grubo plisowane, na to „vetement“ o długim stanie, z bardzo sutą tiuniką z materiału w kratę „bouclé“. Stanik miał małe ranwersa, z pod których widniała kamizelka z materiału w kratę, wysoki kołnier i mankiety. Wszystkie te ozdoby były z pluszu koloru wydry, bo tego cieniu była krata supelkowa — cały brzeg, nawet



Nr 15. Tło na serwetkę.

kawów, których fason dziś szeroki lub lejkowaty u ręki, obejmuje się aksamitem; sznury z ozdobą pasmanteryjną, idące od tyłu, przewiązują paltot w pasie; guziki są u tych paltotów kryte, tak jak i kieszenie, bez których obejść się trudno, chociaż najwykwintniejsze bywają bez kieszeni. Modele płaszczków czyli paltotów jesiennych, jakie przed tygodniem oglądaliśmy w pierwszorzędnym magazynie w Wiedniu, były albo w duże desenie „bouclé“, niby kwiaty w jednym kolorze, lub też w bukiety jaśniejsze na tle ciemniejszym, w rodzaju wełnianego adamaszku — inne jeszcze mniej strojne były z angielskiego materiału pleadowego, te ostatnie miały najczęściej rękawy od razu krajane, jak u dolmana, zawsze fałda w tyle — z przodu na jeden rząd matowych fantazyjnych guzików, w kolorze paltotu, zapięte.

Do przybrania strojnych sukien służy wszystko, to jest aksamit, koronki, pasmantery, czy to jedwabne, czy też figury naszywane z dżetu, kolorowych lub drewnianych perełek; najnowsze jednak ozdoby są z perełek „plomb“ (kolor ołowiu niebieskiego — matowy). Z takich perełek często nawet w połączeniu z dżetem, robią kołnierzyki stojące z plastronem lub bez tegoż, co jest zupełną nowością i bardzo noszone przy lżejszej załobie. W przyszłym przeglądzie, jako w przed adwentowym, powiemy coś o materiałach na pościel, których ogromny wybór pokazywano nam u pani Heurich.

Przepisy gospodarskie.

Suszone owoce kijowskie siarkowane.

Ponieważ dochodzić prawdy jest obowiązkiem każdego, a mylić się jest rzeczą ludzką, więc zmieniając zdanie moje w roku zeszłym, co do doświadczenia zrobionego o owocach suchych na sposób kijowskich, wyjmowanych z konfitur — dziś radzę czytelnikom moim, używać do tego owoców osączonych z konserwy, są bowiem o wiele świeższe i kwaśniejsze w smaku, chociaż dłużej je trzeba osypywać cukrem mialkim, gdyż więcej jak pierwsze mają w sobie wilgoci.

W Kijowie wszelkie owoce przed użyciem, czy to na konfiturę, czy suszenie — bo konserw tam wcale nie robią — siarkują (sposób siarkowania opisałam w Nr. 31 r. b.), zasadzając



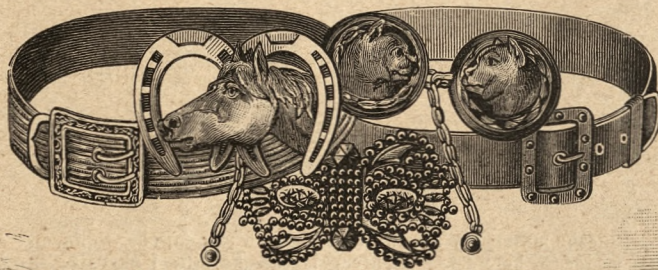
Nr 16. Egretka do kapeluszy.



Nr 17 i 18. Egretki do kapeluszy.



Nr 19. Stanik fałdowany z pekin-velours. Prząd. (Do ryc. 20).



Nr 21—25. Paski i agrafki do pasków.



Nr 26. Stanik fałdowany z krepy wełnianej.

się na podkadzaniu w zamkniętej blaszanej skrzynce, dymem palącej się siarki, zawartych w niej owoców, a następnie moczeniu ich trzydniowem, przez co zniszczona siarkowaniem surowość, a moczeniem zapach siarki — zniszczony zaród fermentacji, dozwala następnie owoc lekko na parze blażerowany, trzymany w wodzie gorącej kilka minut — osuszony na sitach pod wpływem ciągłego i częstego posypywania pudrem cukrowym dosuszać tak, iż sprzedawany suchy i pakowany w pudełkach lębnych, wcale się nie psuje, zachowując właściwy kwas i smak. I to właśnie czyni suszone, szczególnie drobne owoce kijowskie, tak poszukiwane. Wszelkie suszone cukiernicze, a nawet francuzkie, których sposoby podałam w „Jedynych praktycz-

Nr 20. Stanik fałdowany z pekin-velours. Plecy. (Do ryc. 19).
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 27—32.Nr 27. Stanik fałdowany bez szwów.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 25ab i 26.

nych przepisach“ edycya 11, w rozdziale: „owoce suszone“, są za nadto przejęte cukrem.

Doświadczenie gospodarskie.

Knoty od lamp zeszlóroczne wyprać w ciepłej wodzie z sodą, a będą znowu zdadne do użytku.

L. C.

UWAGA

Do dzisiejszego numeru dołączona Tablica krojów, służy też do N-ru 39.

Obiad proszony we Wrześniu.

1. Zupa z kalafiorów (purée), z pulpetami ze szpiku.
2. Łosoś z sosem majonezowym.
3. Polędwica z maderą — kartofle „à la maitre d'hotel“.
4. Fasolka zielona z ciastkami parzonymi.
5. Kuropatwy z kompotem ze sliwek obieranych.
6. Legumina z owoców (patrz „365 Obiadów“).

Desser: Winogrona, melony.